



posłanie

Pismo ewangelizacyjne Wspólnoty Odnowy w Duchu Świętym POSŁANIE

Jesteśmy wezwani do ewangelizacji

wywiad z Johnem Jonathanem Paulem

Nic ze sobą nie brali na drogę

Renata Czerwińska

PAN MOIM DZIEDZICTWEM I PRZEZNACZENIEM,
TO ON MÓJ LOS ZABEZPIECZA

(Ps 16,5)

W NUMERZE:

- 1** JESTEŚMY WEZWANI DO EWANGELIZACJI!
wywiad z Johnem Jonathanem Paulem
- 7** WIELBIJ GO!
Renata Czerwińska
- 10** NIC ZE SOBĄ NIE BRALI NA DROGĘ
Renata Czerwińska
- 16** DOŚWIADCZYŁAM SPOTKANIA TWARZĄ W TWARZ
świadectwo
- 19** ON JEST ŚWIATŁEM
świadectwo
- 22** ZAUFAC BOŻEJ OPATRZNOŚCI
Dagmara Krzyżanowska
- 25** OSTATNI DZIEŃ
Dagmara Krzyżanowska
- 26** CZAS PRZYCINANIA WINNIC
Katarzyna Ciesielska
- 28** ZACHOWAĆ DOBRE WINO
Agnieszka Kozłowska
- 30** ŚWIĘTY ANDRZEJ BOBOLA - RYCERZ CHRYSZTUSA I OBROŃCA POLSKI
Tomasz Kalniuk

*Pan moim dziedzictwem i
przeznaczeniem, to On mój los
zabezpiecza (Ps 16,5)*

W naszym stosunku wobec Boga potrzebna jest postawa dziecięctwa. Jesteśmy przecież dziećmi Boga. Sam Jezus nauczył nas modlitwy do naszego Ojca, *który jest w niebie* i do którego możemy się zwracać *Abba!* – Tatusiu! Wszystko, czego potrzeba nam do życia i realizacji najpiękniejszych planów wobec nas, jest nam dane w odpowiednim czasie. Bóg w Swej miłości, trosce i mądrości wychowuje nas jak najlepszy ojciec. Wie, czego nam potrzeba, byśmy dojrzewali do świętości. W Jego rękę są nasze losy i bez Jego woli nic się nie zdarzy.

Skąd więc taki lęk przed powierzeniem Mu siebie i całego życia? Skąd brak ufności w Jego plany i zamierzenia? Wśród wielu przyczyn stoi ta najważniejsza: nie poznaliśmy Boga takiego, jakim jest naprawdę i nosimy w sobie skrzywione Jego obrazy. Nie doświadczyliśmy osobistego spotkania z Nim, by przekonać się, jak bardzo zostaliśmy przez Niego umiłowani. Jeśli tak jest, to upraszamy poznania prawdziwego Boga, aby nasze myślenie o życiu obecnym kierowało nas ku temu *dziedzictwu*, do jakiego od wieków zostaliśmy zaproszeni.

W imieniu redakcji
Agnieszka Kozłowska



Jesteśmy wezwani do ewangelizacji!

wywiad

John Jonathan Paul jest świeckim misjonarzem, przedstawicielem ICPE (Institute for World Evangelisation. ICPE Mission). Jest to Międzynarodowy Katolicki Program Ewangelizacji – międzynarodowa świecka wspólnota misyjna, założona na Malcie w 1985 roku i obecna dzisiaj na wszystkich kontynentach. W 2002 roku Instytut Ewangelizacji Świata – ICPE Mission – otrzymał od Stolicy Apostolskiej papieskie zatwierdzenie jako międzynarodowe prywatne stowarzyszenie wiernych na prawie papieskim. ICPE zajmuje się formacją i szkoleniem świeckich katolików, którzy pragną poświęcić się ewangelizacji. Prowadzi swoją działalność poprzez głoszenie, czynienie uczniów, budowanie wspólnoty i dzieła miłosierdzia, szkoląc świeckich katolików, formując ich do posługi w Kościele i zdobywania świata dla Chrystusa.



Z Johnem Jonathanem Paulem
rozmawia Tomasz Książczak

Czy mógłbyś powiedzieć kilka słów o sobie, przedstawić się Czytelnikom naszego ewangelizacyjnego czasopisma i powiedzieć, skąd pochodzisz i co robisz w Polsce?

Mam na imię John Paul i pochodzę z Malezji, w Azji. W Polsce odwiedzam przyjaciela mieszkającego we Wrocławiu. Właśnie dziś wróciłem z Częstochowy, gdzie modliłem się za ciebie, za twoją rodzinę i Wspólnotę.

Dziękuję, niech ci Bóg błogosławi.

Przez 11 lat pracowałem jako bankowiec w drugim co do wielkości banku w Malezji i bardzo lubiłem swoją pracę. Wychowałem się w katolickiej rodzinie i co niedzielę chodziłem do kościoła. Tak więc jeśli chodzi o moją relację z Bogiem, to był On dla mnie „niedzielnym Bogiem”. Jednak po doświadczeniu osobistego spotkania z żywym Bogiem Duch Święty

z taką mocą przemienił moje życie, że z niedzielnego katolika stałem się katolikiem zakochanym w Bogu, pełnym pasji i pragnienia dzielenia się Dobrą Nowiną i dawania świadectwa ludziom w mojej parafii, w moim kraju. Następnie Bóg posłał mnie do Włoch i do Nowej Zelandii, bym tam ewangelizował, dzielił się wiarą oraz doświadczeniem spotkania i poznania pełnego mocy, żyjącego Boga. Pragnę świadczyć z głębi mego serca, duszy i umysłu, że Jezus żyje, że On jest Bogiem żywym, którego osobiście spotkałem. Gdybym nie poznał Jezusa jako Boga żywego, nie zrezygnowałbym ze swojej pracy w banku, by dzielić się tym, czego Jezus dokonuje w moim życiu. To kilka słów o tym, kim jestem i dlaczego zostałem świeckim misjonarzem.

Czy mógłbyś coś więcej powiedzieć o tym szczególnym wydarzeniu, kiedy spotkałeś Jezusa i zdecydowałeś się zmienić swe życie? Pracowałeś w zarządzie banku, jak więc do tego doszło?

 **posłanie**

Nr 4/86/2015

Pismo ewangelizacyjne
Wspólnoty Odnowy w Duchu
Świętym POSŁANIE
działającej przy Kościele
Wniebowzięcia Najświętszej
Maryi Panny w Toruniu

WYDAWCA:
Katolickie Stowarzyszenie
Ewangelizacyjne „Posłanie”

PREZES STOWARZYSZENIA:
Ewa Leszczelowska

ASYSTENT KOŚCIELNY:
ks. prałat mgr Józef Nowakowski

REDAKTOR NACZELNY:
Dagmara Krzyżanowska

REDAKCJA PISMA:
Agnieszka Kozłowska, Renata Czerwińska

WSPÓŁPRACA:
Ewa Leszczelowska, Katarzyna Ciesielska,
Tomasz Książczak, Tomasz Kalniuk

OPRACOWANIE GRAFICZNE I
ŁAMANIE KOMPUTEROWE:
Marta Kalniuk

OKŁADKI:
Marta Kalniuk

ZDJĘCIA NA OKŁADKACH:
Tomasz Książczak

KONTAKT:
wspolnota@poslanie.pl

ADRES NASZEJ STRONY:
www.poslanie.pl

ISSN 1734-7602

DRUK: Drukarnia Loretańska,
Warszawa - Rembertów

Tak, oczywiście. Jak każdy człowiek na ziemi miałem swoje wyobrażenia dotyczące życia, swoje cele i plany. Od momentu ukończenia szkoły chciałem posiadać dużo pieniędzy. Były one dla mnie najważniejsze. Drugą ważną dla mnie rzeczą było odniesienie sukcesu i zdobycie niezależności. Zaczęłem bardzo ciężko pracować, aby zrealizować wyznaczone sobie cele. I udało mi się – jako zaledwie dwudziestolatek miałem już własne mieszkanie! Osiągnąłem wyznaczone sobie cele w bardzo młodym wieku, tak więc byłem z siebie bardzo dumny, czułem się jak w siódmym niebie. I zacząłem cieszyć się życiem na maksa. Nie unikałem żadnej światowej przyjemności, piłem alkohol, uprawiałem seks, po prostu czerpałem z życia pełnymi garściami. Po 10 latach zacząłem doświadczać pustki i samotności, których nie mogłem zrozumieć. Myślałem: dlaczego tak się dzieje? Dlaczego stałem się nerwowy i czuję się taki pusty? Dlaczego jestem taki samotny?! Mam przecież wszystko: prowadzę życie towarzyskie, mam przyjaciół z dyskotek, nie brakuje mi pieniędzy, przygodnych znajomości, uprawiam sport, a jednak nie mogę znaleźć pokoju ani sensu swojej egzystencji! I kiedyś, kiedy wracałem do mieszkania, spotkałem sąsiadkę, która zaprosiła mnie na rekolekcje Odnowy w Duchu Świętym. Odpowiedziałem, że od urodzenia jestem katolikiem, uczyłem się w szkole katolickiej, a ona na to: „Przyjdź i zobacz. Przyjdź, by poznać Ducha Świętego”. Nigdy wcześniej nie rozumiałem, kim jest Duch Święty, ale poszedłem na te rekolekcje. Byłem tam jako obserwator i przyglądałem się, założywszy, że jeśli coś głupiego będzie się działo, łatwo stamtąd wyjdę. Tak więc stałem sobie tam, a oni śpiewali, potem ktoś zaczął przemawiać. Słuchałem, jak mówił o Bożej miłości, o zbawieniu grzeszników i o wielu innych rzeczach. W końcu powiedział coś, co szczególnie mnie dotknęło: „Jeśli byłbyś jedyną żyjącą osobą na ziemi, Jezus umarłby właśnie za ciebie, za twój grzech”. Przez te słowa ów nauczający uczynił dla mnie zbawienie czymś rzeczywistym. Jezus przestał być kimś, kto umarł za cały świat, za ludzkość. Zrozumiałem, że On zrobił to specjalnie dla mnie, za mój grzech. Następnie prowadzący powiedzieli, że będą się za nas modlić. Jeden z animatorów zapytał mnie, czy mają prosić o coś specjalnego. Nie miałem żadnych życzeń, więc nałożyli na mnie ręce, a ja powiedziałem: „Jezu, jeśli jesteś, pokaż mi Siebie”. I po kilku sekundach od wypowiedzenia tych słów modlitwy spocząłem w Duchu Świętym. Słyszałem wszystko wokół, głosy rozmawiających obok, ale nie mogłem się podnieść. Doświadczyłem niesamowicie jasnego światła, które przenikało mnie od czubków mych palców u nóg, przez całe ciało aż do głowy. Widziałem wręcz to jasne światło przechodzące przez moją głowę i wiedziałem, że coś się zaczyna we mnie dziać. Od momentu, kiedy się podniosłem, wiedziałem, że stałem się inną osobą. Czułem, że coś

się w moim życiu zmieniło. Doświadczyłem pokoju, za którym tęskniłem, którego pragnąłem. Poczulem dotyk Bożej miłości. Pustka i samotność które wcześniej mnie przygnębiały, po prostu zniknęły. Pamiętam, że płakałem. Były to łzy radości. Wszyscy wokół płakali, padali sobie w ramiona i wielbili Boga, śpiewali, oddając Mu cześć. Było to doświadczenie pełne mocy.



Jak to się stało, że zostałeś powołany w szczególny sposób, by zostać ewangelizatorem?

Nigdy wcześniej o tym nie myślałem, nie miałem takich planów. Pomysł, by zostać ewangelizatorem, nawet nie przyszedł mi na myśl. Ale po spotkaniu Boga żywego pojawiło się we mnie pragnienie, by dowiedzieć się, kim naprawdę jest Jezus. Zaczęłem czytać Biblię i chciałem angażować się we wszystkie możliwe posługi w Kościele. Brałem udział w pracy różnych grup, charyzmatyków. Angażowałem się, bo chciałem służyć ludziom i zobaczyć, jak Jezus służy innym. Miałem pragnienie dzielenia się i tak zacząłem działać w grupie ewangelizacyjnej. Organizowaliśmy w niej weekendowe obozy dla studentów, dla parafii. Tam nauczyłem się dzielić swoim świadectwem i modlić za innych. Moja charyzmatyczna grupa modlitewna była miejscem, w którym zrodziło się we mnie to pragnienie, by ewangelizować. W niej wzrastałem.

Jak to było z rezygnacją z twojej pracy?

Przez około 3 lata angażowałem się głównie w weekendy w grupie misyjnej. W tym czasie podczas modlitwy osobistej czułem, że Bóg mówi mi, abym wszystko zostawił i poszedł za Nim. Zaczęłem walczyć,

zmagając się ze sobą i z Bogiem, nie będąc pewnym, czy to moje, czy Boże pragnienie. Bóg poprowadził mnie do kierownika duchowego, z którym podzieliłem się swymi odczuciami, przekonaniem, że Bóg chce, abym wszystko zostawił i poszedł za Nim. Zaczęliśmy się razem modlić w tej intencji, rozmawialiśmy na ten temat i kierownik potwierdził, że moje powołanie, by zostawić wszystko i iść za Panem, jest autentyczne. Mimo tego dalej się zmagalem: myślałem o swojej pracy, o przywilejach, jakie mi dawała, o poczuciu bezpieczeństwa, o moim ubezpieczeniu, oczywiście o mojej przyszłości, o tym, kto mi zapewni moją pensję itp. Przez rok ciągle walczyłem z Bogiem, nie mogłem podjąć ostatecznej decyzji. Podczas osobistej modlitwy Bóg pytał mnie: „Czy mi ufasz? Czy mi ufasz, John?”. To pytanie wiele razy się powtarzało, Jezus ciągle mnie pytał: „Czy mi ufasz?”. I odpowiedziałem: „Tak, ufam Ci”. We wrześniu 1994 roku złożyłem pisemne wypowiedzenie z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Kiedy w końcu to zrobiłem, poczułem głęboki pokój!

Byłem taki spokojny! Po prostu wiedziałem, że Bóg właśnie tego ode mnie chciał. W styczniu 1995 r. pojechałem do katolickiej wspólnoty w Australii, by odbyć szkolenie przygotowujące do misji. Tam przeszedłem roczny kurs i po nim zostałem misjonarzem na cały etat. W tym roku mija już 20 lat, odkąd jestem świeckim misjonarzem. Od 12 lat pracuję w ICPE.

Byłeś w różnych krajach, spotykałeś wielu ludzi. Na pewno doświadczyłeś mocy Boga działającego w Twoim życiu oraz życiu innych w cudowny sposób. Czy mógłbyś podzielić się świadectwami, które szczególnie utkwiły ci w pamięci?

Najważniejsze w moim życiu, od czasu, kiedy stałem się pełnoetatowym misjonarzem, jest pełne zaufanie we wszystkim Bogu, pewność, którą odczuwam przez ostatnie 20 lat mojego życia. Często mówimy, że Bóg nas we wszystko wyposaży, że nas zaopatrzy we wszystko, czego potrzebujemy. W Biblii Bóg mówi o sobie: jestem Dawcą, JAHWE, jestem Bogiem, który zabezpiecza. Wielokrotnie o tym słyszymy, że Bóg ogłasza w Biblii, że jest Sprawcą wszystkiego. Kiedy jednak przychodzi co do czego, ciągle chcemy mieć nad wszystkim kontrolę. W ciągu tych 20 lat całkowicie zaufałem Bogu. On ukazał mi, że jest prawdziwie Bogiem JAHWE, który mnie zabezpiecza. On od 20 lat zaspokaja KAŻDĄ moją potrzebę. Wystarczy Mu zaufać. Jeśli złożysz swoje życie w Nim, On się o wszystko zatroszczy. Podczas mojej misyjnej drogi Bóg otwierał przed nami liczne drzwi, dawał wiele możliwości ewangelizowania. Naprawdę mam mnóstwo doświadczeń, z których opowiem o kilku.

Przybyliśmy jako grupa misjonarzy do Albanii, która była postkomunistycznym krajem, w większości muzułmańskim, ze zniszczoną infrastrukturą. Znaleźliśmy się w pewnej muzułmańskiej wiosce, by pomóc odbudować drogi, domy i inne budynki. Wiele osób pytało: „Dlaczego to robicie? Przyjechaliście specjalnie, by nam pomóc? Dlaczego?”. Odpowiadaliśmy, że robimy to, bo kochamy Jezusa, bo jesteśmy chrześcijanami. Na początku nie próbowaliśmy ich ewangelizować, tylko po prostu pomagaliśmy im, pracując jako wolontariusze. Wtedy ich przywódcy zadali nam pytanie: „Powiedzcie nam, kto to ten Jezus? Kim On jest?”. I wtedy dopiero zaczęliśmy dzielić się z nimi Dobrą Nowiną. Innym razem byliśmy z zakonnicami w Albanii z misją charytatywną i kiedy tamtejszy ksiądz poprosił nas, zaczęliśmy dzielić się tym, kim jesteśmy i kim jest Jezus. To są przykłady ewangelizacji. Kiedy gdzieś przyjeżdżamy, nie tylko pomagamy, ale staramy się również pracować z lokalnymi Kościołami, aby potem ludzie stamtąd mogli kontynuować ewangelizację. Chciałbym też

podzielić się czymś, co ostatnio miało miejsce w Polsce. Odwiedziliśmy kilka miast, między innymi przybyliśmy do Warszawy i pracowaliśmy tam misyjnie wśród parafian i studentów. Kiedy opowiadałem o tym, jak Jezus nas zbawił, mówiłem to jako Azjata, ze swojej perspektywy. Pochodzę z Malezji, gdzie jest

wam cokolwiek powie, mówicie: „O, naprawdę?”. Dam przykład: kiedy byłem w Polsce, zauważyłem, że ludzie interesują się wschodnimi religiami, takimi jak buddyzm, hinduizm, Hare Kriszna, chociaż nie mają pojęcia, o co w nich chodzi. Są w stanie zrezygnować z Jezusa dla czegoś, czego nie znają! Dlatego dla mnie



wielu różnych bogów, którym ludzie oddają cześć. Nie wiedzą, w którego boga wierzyć. Żydzi mówią, że ich Bóg jest najlepszy, muzułmanie twierdzą, że tylko ich jest prawdziwy i tak samo Chińczycy czy buddyści. Jest tak wielu bogów! Mówiłem z mojej perspektywy, dlaczego warto być chrześcijaninem. Po tym dzieleniu się nowiną o zbawieniu podeszła do mnie dziewczyna z grupą młodych osób i powiedziała: „Dziękujemy ci, bo teraz rozumiemy, czego Jezus dokonał dla nas na krzyżu”. Zaczęła płakać i powtórzyła: „Właśnie zrozumiałam, co Jezus zrobił dla mnie na krzyżu”. I wszyscy się radowali. To mnie zainspirowało; uświadomiłem sobie, że przez 20 lat bycia misjonarzem niosłem innym nadzieję, kiedy przekazywałem Dobrą Nowinę o zbawieniu i pomagałem ludziom zrozumieć, czego Jezus dla nich dokonał na krzyżu. I to było dla mnie wspaniałe, pełne mocy doświadczenie.

Jakie masz wrażenia, co myślisz – jako Malezyjczyk – o Polakach i polskim Kościele?

Macie wiarę, ale potrzebujecie dużo zachęty. Szczerze mówiąc, Europejczycy – ogólnie rzecz biorąc – są bardzo naiwni i łatwowierni. Jeśli ktokolwiek

jako Azjata pochodzącego ze zróżnicowanej kultury, ważne jest, że jestem chrześcijaninem, ważna jest świadomość tego, kim jest Jezus i czym się różni od innych bóstw. I dlatego czuję, że Bóg posyła mnie wciąż z powrotem do Polski, do świata Europy Zachodniej.

Jak wygląda życie chrześcijan w islamskim kraju, jakim jest Malezja? Jakie są tam realia, z którymi stykają się chrześcijanie? Czy w Malezji chrześcijaństwo jest silne?

Chrześcijaństwo w Malezji jest silne dzięki prześladowaniom. Jesteśmy silni, ponieważ jesteśmy nieustannie gorzej traktowani przez rząd, który jest w większości muzułmański. W konsekwencji chrześcijanie w moim kraju są bardzo zjednoczeni, nawet ci z różnych denominacji. Różnimy się, ale jesteśmy zjednoczeni z powodu prześladowań. Mamy bardzo ograniczony wpływ na rząd w naszym kraju. Na przykład muzułmanie otrzymują edukację i wykształcenie opłacane przez rząd, dostają pracę od rządu i innych organizacji, w których jest wręcz wymagane, aby osoby na ważnych stanowiskach były muzułmanami. Nawet jeśli jesteś bardzo pracowity,

inteligentny i dobry w tym, co robisz, ale nie jesteś muzułmaninem, jesteś gorzej traktowany. Nie zostaniesz doceniony, bo nie jesteś muzułmaninem. Jeden z moich dobrych przyjaciół z mojej grupy modlitewnej, który był policjantem, został przeniesiony na wieś, ponieważ nie był muzułmaninem. Chciał pracować w mieście, gdzie miał swoją rodzinę, matkę i przyjaciół, ale jego szef powiedział mu, że tylko jeśli nawróci się na islam, dostanie awans i zostanie przeniesiony jako inspektor. On jednak nie poszedł na kompromis i nie wyrzekł się wiary. Po roku Bóg mu jednak wspaniale pobłogosławił i został wybrany do biura ochrony samego premiera, który zresztą był muzułmaninem! Był jego ochroniarzem przez wiele lat. To są przykłady, jak chrześcijanie są nakłaniani do przejścia na islam, jeśli chcą awansować. Edukacja, praca – w tych dziedzinach jesteśmy subtelnie prześladowani.

Czy chrześcijanie w Malezji mogą ewangelizować innych?

Jeśli zaczniesz ewangelizować muzułmanów, dzielić się Dobrą Nowiną, możesz znaleźć się w więzieniu.

Czy tak nakazuje prawo?

Tak. Takie jest prawo. Dlatego wystąpiłem w Radio Maryja i w programie telewizyjnym, by nawoływać chrześcijan w Europie do ewangelizowania muzułmanów mieszkających w Europie, ponieważ nie można tego robić w ich własnych krajach. Nie bójcie się dzielić Dobrą Nowiną z nimi. Możecie zdobyć Ewangelię po arabsku i dać im. Prawo zakazuje ewangelizowania muzułmanów w państwach islamskich, ale możemy to robić, kiedy ci przyjeżdżają do Europy.

A czy muzułmanie mogą nawracać innych?

Tak, oni mogą cię nawracać i robią to na przykład przez telewizję i radio, w których mają swoje programy religijne. Ale inne religie nie mogą tego robić.

Powiedziałeś, że Europejczycy powinni nawracać muzułmanów, ale to złożona sytuacja. Ponieważ Europa jest – jak sam powiedziałeś w telewizji – duchowo próżna, a chrześcijanie są neopoganami i sami potrzebują ewangelizacji. Natomiast islam jest coraz silniejszy w Europie. Co myślisz o całej tej sytuacji? Czy jest jakaś nadzieja? Czy są jakieś szanse?

Myślę, że szansą jest to, że zarówno w Europie, jak i w Polsce istnieje wiele wspólnot, wiele grup modlitewnych. Mam nadzieję, że zaczniemy modlić się

w tej intencji i Bóg powoła ludzi z różnych wspólnot, którzy będą mieli serce dla muzułmanów, by doprowadzić ich do Jezusa. To nie jest tak, że muzułmanie niczego nie wiedzą o Jezusie. Oni wiedzą, kim On jest. Pragnąłbym, aby wspólnoty w całej Europie rozpoczęły modlitwę w tej intencji. Właśnie wczoraj słuchałem wiadomości, w których podano, że w tym roku spodziewany jest 1 milion uchodźców z Afryki! Milion muzułmanów przybywających do Włoch oraz innych krajów Europy! – jesteś w stanie to sobie wyobrazić? Nie możemy być wobec tej sytuacji bierni, musimy zacząć działać! Nie można mówić, że to problem Unii Europejskiej. To nasz problem, ponieważ to Bóg ich przysyła. Jeśli nie będziecie chcieli ich ewangelizować, to być może za 20 lat cała Europa będzie muzułmańska, ponieważ muzułmanie to ludzie wielodzietni. Ich rodziny nie poprzestają na jednym dziecku, ale mają 8, 9 lub 10. Tak więc naprawdę musimy się modlić. Jestem pewien, że możemy przewyciężyć trudności i do nich dotrzeć. Grupy modlitewne powinny skupić się na tym i prosić: „Panie, powołaj osoby, które do nich wyjdą!”.

I sami musimy mieć więcej dzieci.

Oczywiście! Ilość muzułmanów na całym świecie nie wzrasta dzięki nawróceniom na islam, ale dzięki dużemu przyrostowi naturalnemu. Islam rozprzestrzenia się nie przez nawrócenia, ale głównie przez demografię.

Opowiadałeś, jak walczyłeś sam ze sobą przed podjęciem decyzji o pozostawieniu wszystkiego i oddaniu swego życia Jezusowi. Jest pewnie wielu ludzi, którzy czują, że Bóg ich wzywa, może niekoniecznie, by zostawili wszystko, ale by byli bardziej hojnymi w służbie dla Niego i może właśnie jest im z tego powodu ciężko, zmagają się ze sobą, ze swymi lękami i przywiązaniami. Co poradziłbyś takim osobom?

Patrząc na moje doświadczenia, warto było zawierzyć życie Jezusowi, bo Bóg ma najlepszy plan dla nas. To, jak bardzo jesteś hojny dla Pana, zależy od tego, ile swojego wolnego czasu możesz Mu dać, ponieważ czas jest bardzo ważny. Nie żyję w małżeństwie, więc mogę poświęcić cały swój czas dla Boga. Jednak dla małżeństw z dziećmi priorytetem powinna być rodzina. I to jest naprawdę wielka hojność z ich strony, jeśli chcą służyć w jeszcze inny sposób. Moja rada jest taka: dajcie to, co możecie dać Bogu. Jeśli możecie dać pół godziny, dajcie te pół godziny, mówiąc Bogu, że robicie to dla Niego. To tak jak w Ewangelii o pięciu bochenkach i dwóch rybach. Chłopiec powiedział: „Mam tylko to”, a Jezus odpowiedział: „Dobrze, daj to, co masz”. I podobnie

jest z wami: dajcie to, co możecie dać. Waszą pierwszą misją jest wasza rodzina. Jeśli dacie wszystko grupie modlitewnej i dopiero potem zajmiecie się swoją rodziną – to bardzo źle. Najważniejszą rzeczą jest uczenie się zaufania Bogu, poddawania się Mu, oddawania Mu różnych, czasem trudnych sytuacji. Módlcie się razem jako małżeństwo o rozeznanie, rozmawiajcie ze sobą, ponieważ komunikacja jest bardzo ważna w małżeństwie. Dzielcie się tym, co możecie jako małżeństwo ofiarować, wypracujcie porozumienie. To samo robimy w mojej wspólnotce. Małżeństwa omawiają wspólnie i decydują, kto co będzie robił. Mąż mówi: „Zostanę z dziećmi, a ty się zaangażuj”, albo odwrotnie, żona mówi: „Podejmij tę posługę, a ja cię będę wspierała, zostając w domu z dziećmi”. Rozkład obowiązków powinien być dość elastyczny.

Chciałbym zapytać o metody i sposoby ewangelizowania, których używacie. Wiemy, że jest to dawanie świadectwa, nauczanie o zbawieniu, wolontariat oraz współpraca z lokalnymi wspólnotami. Ale co jeszcze robicie w krajach, w których posługujecie?

Zazwyczaj przyjeżdżamy na zaproszenie proboszcza i pytamy go, jakie są wasze potrzeby, co chcecie, abyśmy zrobili. On na przykład mówi nam, że potrzebuje pomocy na polu pracy z młodzieżą. Zaczynamy więc od formowania liderów młodzieżowych. Najpierw prosimy proboszcza, by wskazał osoby, które mogą być liderami, a następnie pracujemy z nimi, poświęcamy czas,

posługując im, ucząc ich różnych metod ewangelizacji (często twórczych, jak taniec), przygotowujemy do mówienia świadectwa, konferencji. Najważniejsze jest to, że uczymy ich, jak spotykać Jezusa na modlitwie, podczas czytania Słowa Bożego, na adoracji. Następnie organizujemy rekolekcje dla młodzieży, w które zaangażowani są młodzi liderzy.

Formujecie więc nowych ewangelizatorów.

Tak, przyjeżdżamy do parafii na zaproszenie i „czynimy uczniów”, bo nie zostaniemy tam na zawsze, a oni tam zostają. Chcemy ich wyposażyć, aby sami mogli kontynuować rozpoczętą przez nas pracę. Ewangelizacja to właśnie „czynienie uczniów” na wzór Jezusa. Wydaje mi się, że często problemem jest to, że nie czyni się nowych uczniów w Kościele. Jezus chodził ze swoimi uczniami przez 3 lata i ich formował, więc kiedy odszedł, byli oni w stanie kontynuować Jego dzieło. I zanieśli Dobrą Nowinę na cały świat. Podobnie musimy formować uczniów, aby ewangelizować świat, bo ty i ja nie będziemy żyć wiecznie.

Ostatnie pytanie: Jakie masz osobiste doświadczenie we wzrastaniu w głębszym poznawaniu Jezusa poprzez ewangelizowanie? Jakich zmian dokonało w tobie bycie ewangelizatorem?

Myślę, że kiedy głoszę innym, głoszę również sobie. Kiedy mówię ludziom, aby się odmienili, mówię te słowa również do siebie. Biorę odpowiedzialność za swoje słowa. Muszę żyć tym, czego nauczam. To właśnie to, o czym mnie Jezus ciągle przekonuje: „John, jeśli chcesz ewangelizować, musisz żyć tym, co głosisz”. Zawsze się łapię na tym, kiedy głoszę: słuchaj tego, co głosisz, bo musisz tym żyć. I tego wyzwania doświadczam ciągle. Jeśli chcesz być dobrym ewangelizatorem, musisz wierzyć w to, co głosisz i według tego postępować.

Dziękuję za rozmowę.

**Toruń, 19 kwietnia 2015 r.
tłum. Joanna Garszka
Zdjęcia str. 1-6 z archiwum
Johna Johnatana Paula**

RENATA CZERWIŃSKA WIELBIJ GO!



Modlitwa uwielbienia, całkowicie bezinteresowna, wznosi się do Boga; wysławia Go dla Niego samego, oddaje Mu chwałę nie ze względu na to, co On czyni, tylko dlatego, że ON JEST – pisze Katechizm Kościoła Katolickiego (KKK 2649). A Duch Święty, przyczyniający się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami (Rz 8,26) wtedy, kiedy nie potrafimy się modlić, sam niejednokrotnie prowadzi nas do modlitwy uwielbienia, do psalmów, hymnów i pieśni pełnych ducha (por. Kol 3,16) albo nawet do prostych słów „uwielbiam Cię, wysławiam Cię”. Modlitwa uwielbienia wiąże się bowiem z

ZAUFANIEM DZIECKA.

Drzewo figowe wprawdzie nie rozwija pąków, nie dają plonu winnice, zawiódł owoc oliwek, a pola nie

*dają żywności, choć trzody owiec znikają z owczarni i nie ma wołów w zagrodach. Ja mimo to w Panu będę się radować, weselić się będę w Bogu, moim Zbawicielu – pisze prorok Habakuk (Ha 3,17-18). Uwielbiając Boga, wyznajemy wiarę w to, że On ma w Swoim ręku wszystkie sytuacje w naszym życiu, dobre i złe. To, co dobre, jest Jego darem i trzeba Mu podziękować. A to, co złe, On potrafi rozwiązać. Skoro mamy Ojca w niebie, nie musimy trwać w lęku, zamartwiać się o to, na co nie mamy wpływu. Możemy cieszyć się zarówno wspominając dobro, które już otrzymaliśmy: *Wiele Ty uczyniłeś swych cudów, Panie, Boże mój, a w zamiarach Twoich wobec nas nikt Ci nie dorówna. I gdybym chciał je wyrazić i opowiedzieć, będzie ich więcej niżby można zliczyć* (Ps 40,6), jak i z Bożych obietnic, zawartych w Jego Słowie: *Jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamyślam co do**



foto. Dorota Kowalska

nie patrzyli na niebezpieczeństwo, ale wznieśli myśli ku Bogu. Kiedy trwali na modlitwie, ich wiara została na tyle umocniona, że mogli stoczyć zwycięski bój. Podobną sytuację opisuje św. Faustyna: kiedy wracała z adoracji, została zaatakowana przez złe duchy, które pojawiły się w postaci psów i groziły jej, że za wyratowanie tylu dusz zostanie rozszarpana na kawałki. *Odpowiedziałam, że jeżeli taka jest wola Boga najmiłosierdnieszego, to szarpacie mnie w kawałki, bo na to słusznie zasłużyłam, bo jestem najnędrniejsza z grzeszników, a Bóg jest zawsze święty, sprawiedliwy i nieskończenie miłosierny.* Na te słowa pokory i uwielbienia złe duchy błyskawicznie uciekły, krzycząc, że Faustyna *nie jest sama, ale jest z nią Wszechmocny. I znikły jako pył, jako szum z drogi, a ja spokojnie, kończąc „Te Deum”, szłam do celi rozważając nieskończone i niezgłębione miłosierdzie Boże* (Dz 320).

Uwielbienie odwraca uwagę od naszych słabości w obliczu trudności, kieruje ją na Boga. Nie chodzi o to, aby udawać, że problemu nie ma, ale nie wyolbrzymiać go, nie nadawać mu kierowniczej roli w życiu. Tak naprawdę to Bóg jest Panem. Uwielbienie nie pozwala więc odebrać wewnętrznego pokoju, tak potrzebnego w rozeznawaniu i podejmowaniu decyzji.

Wbrew pozorom, modlitwa uwielbienia to

NIE TYLKO EMOCJE.

Paweł i Syłas, pobici i więzieni, nie przeżywali pozytywnych emocji, a jednak zdecydowali się, aby uwielbiać Boga. Kiedy wysławiali Pana, *a więźniowie im się przysłuchiwali, nagle powstało silne trzęsienie*

ziemi, tak że zachwiały się fundamenty więzienia. Natychmiast otwarły się wszystkie drzwi i ze wszystkich opadły kajdany (Dz 16,25-26). Ta sytuacja doprowadziła do nawrócenia rodziny rzymskiego setnika. Świecka ewangelizatorka, Maria Vadia, w książce *Twój język ma moc* wspomina, że kiedy została zostawiona przez męża wraz z czwórką dzieci, wcale nie było jej do śmiechu. Postanowiła jednak mimo wszystko uwielbiać Boga, zawierzać Mu bezgranicznie. I, jak sama pisze – jej rodzina przez cały czas doświadczała błogosławieństwa, Bóg, którego uwielbiała, zatroszczył się o nich. Jan Budziaszek, organizator znanego koncertu uwielbienia – *Jednego Serca, Jednego Ducha*, który co roku odbywa się w Rzeszowie w uroczystość Bożego Ciała – opowiada, że jednego roku przez cały koncert jego uczestnicy, a nawet część artystów, stojących z przodu sceny, była zalewana strugami deszczu, ale...

was – wyrocznia Pana – zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby, by zapewnić wam przyszłość, jakiej oczekujecie (Jr 29,11). Modlitwa uwielbienia to oddawanie się w ręce Ojca, wpatrywanie się w Niego, wyznawanie, że oczekujemy od Niego tego, co dobre, że przy Nim czujemy się bezpiecznie. *Nawet wróbel dom sobie znajduje i jaskółka gniazdo, gdzie złoży swe pisklęta: przy Twoich ołtarzach, Panie Zastępów, mój Królu i mój Boże!* (Ps 84,4).

Ta modlitwa dziecka jest jednak także potężną

BRONIĄ W WALCE DUCHOWEJ.

Święty Jan Bosko wspomina, że w jednym ze swoich snów zobaczył grupkę chłopców, którymi się opiekował, zaatakowaną przez dzikie zwierzęta. Matka Boża, która przybyła im na pomoc, zachęciła ich, aby

tyłu uzdrowień fizycznych i duchowych nie było na żadnym koncercie.

Przypomina to ignacjańską zasadę

AGERE CONTRA,

czyli działania przeciwko strapieniu. Modlitwa uwielbienia, często oparta na Słowie Bożym, demaskuje kłamstwa złego ducha, wprowadzające lęki, smutki, poczucie frustracji. A, jak zaznacza św. Ignacy z Loyoli, *trzeba się przyzwyczaić nie tylko do tego, żeby stawiać opór przeciwnikowi, ale nadto żeby go powalić na ziemię* (ĆD 13). *Boję się o przyszłość? Ze wszystkich dobrych obietnic, które Pan uczynił domowi Izraela, żadna nie zawiodła, lecz każda się spełniła* (Joz 21,45). *Obawiam się, czy znajdę pracę? Pan jest ze mną, mój wspomóżyciel* (Ps 118,7); *Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego* (Ps 23,1). *Czuję się pozostawiony sam sobie? Choćby mnie opuścili ojciec mój i matka, to jednak Pan mnie przygarnie* (Ps 27,10). *Nie wiem, jak sobie poradzić z problemami, które mnie przytłaczają? Ciężary nasze dźwiga Bóg, zbawienie nasze* (Ps 68,20). *Kiedy uwielbiamy, umacnia się nasza wiara i nadzieja, a tym samym serca zostają uwolnione od smutku i tego, co je przygniata. Niejednokrotnie możemy być wtedy świadkami cudów, bo przecież ufność, którą w Nim pokładamy, polega na przekonaniu, że wysłuchuje On wszystkich naszych próśb zgodnych z Jego wolą. A jeśli wiemy, że wysłuchuje wszystkich naszych próśb, pewni jesteśmy również posiadania tego, o cośmy Go prosili* (1 J 5,14-15).

SPÓJRZCIE NA NIEGO!

Uwielbienie zespala inne formy modlitwy i zanoszą je do Tego, który jest ich źródłem i celem (KKK 2639). Jak pisze w swoim *Dzienniczku* św. Faustyna, święci zawsze odnajdywali w Bogu coś, co ich fascynowało, za co chcieli Go uwielbiać. *Dla niej to było miłosierdzie, ale przecież któż opowie dzieła potęgi Pana, ogłosi wszystkie Jego pochwały?* (Ps 106,2). *W niebie – jak pisze św. Jan – przed tronem Bożym stoi wielki tłum, którego nikt nie może policzyć i jednym głosem wychwala Pana* (por. Ap 7,9-17). *Psalmista zachęca: Uwielbiajcie ze mną Pana, imię Jego wspólnie wywyższajmy! (...) Spójrzcie na Niego, promieniejcie radością, a oblicza wasze*

nie zaznają wstydu (Ps 34,4,6); *Rozmyślajcie o Panu i Jego potędze, szukajcie zawsze Jego oblicza!* (Ps 105,4). *Uwielbienia uczy nas Maryja, w swoim hymnie oddając chwałę Bogu za wszystko, co uczynił dla Niej i dla swego ludu* (por. Łk 1,46-55), *odnajdując w Nim nadzieję, chwalcąc Go za to, co jeszcze uczyni. Uwielbienie jest tą formą modlitwy, w której człowiek najbardziej bezpośrednio uznaje, iż Bóg jest Bogiem.*



foto. Dorota Kowalska

Wysławia Go dla Niego samego, oddaje Mu chwałę nie ze względu na to, co On czyni, ale dlatego że ON JEST. Uczestniczy w szczęściu serc czystych, które kochają Go w wierze, zanim ujrzą Go w chwale (KKK 2639). *Skoro więc cała ziemia pełna jest Jego chwały* (Iz 6,3), *chwalcie Boga naszego, wszyscy Jego słudzy, którzy się Go boicie, mali i wielcy!* (Ap 19,5).

NIC Z SOBĄ NIE BRALI NA DROGĘ



reportaż
Renata Czerwińska

Jezus przywołał do siebie Dwunastu (...) i przykazał im, żeby nic z sobą nie brali na drogę (Mk 6,7-8)

Pan Bóg czasem wkłada w nasze serca naprawdę szalone marzenia. Kiedy tylko usłyszałam o pewnej akcji ewangelizacyjnej, wiedziałam, że muszę na nią pojechać. Od siedmiu lat w diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej podczas wakacji ma miejsce ewangelizacja nadmorska. Przez dziesięć dni członkowie różnych wspólnot z całej Polski idą wybrzeżem – po plażach i deptakach nadmorskich miasteczek – opowiadając napotkanym ludziom o miłości Bożej. Co ciekawe, nie mają ze sobą żadnych zabezpieczeń – pieniędzy, kart kredytowych, umówionych noclegów czy wyżywienia. Jak wyjaśnia inicjator akcji, ks. Radosław Siwiński (doświadczony zresztą w zaufaniu Opatrzności Bożej podczas pracy nad Domem Miłosierdzia, przeznaczonym „na każdą ludzką biedę”), nie chodzi tutaj o żaden sport, o wyścigi, kto weźmie mniej, ale o zaufanie Bogu i wolność wewnętrzną. Mamy być oczyszczeni ze świata, a Jezusa uznać jako pierwszego we wszystkim. Kiedy więc w niedzielę podczas

rekolekcji poprzedzających wyjście na plażę słyszymy w liturgii wezwanie Pana, aby podczas głoszenia Słowa nie brać dwóch sukien, sandałów itp., pada propozycja: a może wziąć jeszcze mniej, niż zamierzamy? Wyjść bez śpiworów, karimat, a nawet rzeczy, które mogłyby się wydawać potrzebne? Zaufać jeszcze bardziej Bogu? Oczywiście, mamy być w tym wolni, wsłuchać się, co On mówi w naszych sercach. Kiedy więc pytam Go, co mam zostawić, widzę, że nie tyle chodzi o to, żeby wziąć mało (już tyle razy Pan Bóg zatroszczył się o tak wiele drobiazgów w moim życiu), ale zostawić Mu to, co jest moim ciężarem. Przez całe czterodniowe rekolekcje chodzą za mną słowa, które Mała Siostra Magdalena mówiła do swoich współsióstr: „Macie być lekkie jak bańki!” – i czuję, że to mnie pociąga. Zresztą niejedna osoba ma wrażenie, że jest na właściwym miejscu, że miała przyjechać na te rekolekcje. Jak mówi ks. Radek: „Bóg wybrał nas na to wydarzenie, bo Jego spojrzenie na nas jest szczególne. Pociągnął nas do tego, co jest najważniejsze w Kościele – aby głosić Dobrą Nowinę”. Rekolekcionista wyjaśnia nam, że Pan towarzyszy ludzkim decyzjom i potwierdza te zgodne z Jego wolą. A więc – w drogę!

Oni więc wyszli i wzywali do nawrócenia (Mk 6,12)

Jak wygląda dzień ewangelizatora? Od 9 rano trwamy w ciszy na godzinnej adoracji Najświętszego Sakramentu – bez osobistej relacji z Panem nie damy rady nic o Nim powiedzieć! Potem spotykamy się w grupie (w tym roku podzieliliśmy się na dwie ekipy, które szły różnymi szlakami, ale bywały lata, w których ewangelizatorzy dzielili się nawet na trzy, i to dość duże). Opowiadamy sobie o tym, co było dobre, co nas poruszyło, zastanawiamy się też nad tym, co należy poprawić. Następnie dwie osoby zostają na adoracji, a pozostałe wyruszają na plażę, by głosić Ewangelię. Posługa jest bardzo prosta, bo w ewangelizacji najważniejsze nie są metody i schematy, ale życie z Bogiem. Towarzyszy nam więc śpiew, prosty taniec, pantomima, rozmowy z ludźmi, zaproszenie na wieczorną mszę świętą z modlitwą o uzdrowienie, dzielenie się z ludźmi Cudownym Medalikiem (zawieszonym na charakterystycznej, niebieskiej nitce) i zawieranie ich Matce Bożej. Po wieczornej mszy świętej i nabożeństwie z modlitwą o uzdrowienie informujemy zgromadzonych w kościele, że nie mamy żadnych zabezpieczeń, a potrzebujemy noclegu, pożywienia, transportu do kolejnej miejscowości – i Pan Bóg rzeczywiście troszczy się o nas. Jak na przykład wtedy, kiedy pewnego wieczoru okazuje się, że nocleg jest tylko dla kilkorga z nas. Dwadzieścia osób nie ma gdzie spać, tymczasem zasada jest taka, że nie nocujemy w salkach parafialnych, plebaniach itp. Wychodzimy

więc z domu parafialnego i ruszamy przed siebie. Co zrobić? „Powiedzmy różaniec!”. Kiedy tylko zrobiliśmy znak krzyża, znalazł się nocleg dla pierwszych trzech osób (najmłodszych dziewcząt w naszej grupie, zwanych pieszczotliwie „szprotkami”). Szliśmy dalej, modląc się, a kiedy się zatrzymaliśmy, spojrzeliśmy na siebie i... *ogarnęła nas radość* (Ps 126,3). W tak ekstremalnej sytuacji doświadczamy tego, że Maryja wstawia się za nami, gdy stoimy tu, na środku ulicy, pod rozgwieżdżonym niebem. A kiedy prosimy Ją: „módl się za nami grzesznymi”, Ona to rzeczywiście robi. Kiedy kończymy różaniec, wszystkie osoby wiedzą już, gdzie pójść na nocleg.

Jedźcie, co wam podadzą (Łk 10,8b)

Na ewangelizację wychodzimy bez wcześniej kupionego jedzenia, ale... nigdy go nie brakuje. Jedna z dziewczyn ze zgrozą przyznaje, że na zeszłorocznej ewangelizacji przytyła trzy kilo. Ludzie dzielą się z nami tym, co mają, jedzenie jest niewyszukane, ale uczymy się dziękować, a przede wszystkim dzielić. Czy na pewno wszyscy zjedli? Czy ktoś jest spragniony? Czy na pewno każdy ugryzł kawałek gofra? Czy ktoś potrzebuje apaszki (koszulki, chusty, czapki), bo nie wziął na głowę? Czy wszyscy się wysmarowali kremem z filtrem? W naszych brakach niejednokrotnie doświadczamy czulej miłości Boga Ojca. W zeszłym roku na ewangelizacji było narzeczeństwo, Justyna i Janek. Ponieważ Janek miał urodziny, Justyna chciała mu zrobić prezent, ale co tu zrobić, kiedy się nie ma





fol. Tomasz Łasko

pieniędzy? Zaczęła się jednak modlić o tort, i to... orzechowo-porczkowy. Przez cały dzień nikt ich takim specjałem nie poczęstował, kiedy jednak ruszyli na nocleg, okazało się, że trafili do pani, której syn właśnie się ożenił i po weselu zostało mnóstwo ciasta. Gospodyni wyciągnęła z lodówki po kawałku tortu dla wszystkich nocujących. Nie muszę chyba pisać, o jakim smaku? Wzorem tego w tym roku jedna z dziewcząt – Madzia – z okazji swoich imienin modli się o lody dla całej grupy, tak, aby każdy dostał po jednym. Oczywiście, nie mamy na to pieniędzy, ale na plaży ktoś podchodzi do nas i (nie wiedząc o modlitwie Magdy) mówi: „Macie tu pieniądze i kupcie lody dla całej grupy!”. Jedną dziewczynę bierze ze sobą szcoteczki do zębów i co prawda jakoś sobie bez niej radzi, ale dotkliwie odczuwa ten brak, w dodatku stopy robią jej się szorstkie i potrzebuje pumeksu. Pewnego wieczoru do salki parafialnej wkraczają dwie panie z wielkimi kartonami pełnymi dobroci – głównie jedzenia, ale w jednym z nich na wierzchu leżą dwie szcoteczki do zębów i... pumeks. Kiedyś z kolei trafiamy w czwórkę na nocleg do przyczepy kempingowej. Użyczają

jej dwie panie o wielkich sercach – Beata i jej córka Paulina – które jednak dopiero się budują, więc nie mają warunków, żebyśmy mogli się wykapać. Myjemy nogi w misce, toaleta, zbita z desek, jest na zewnątrz... Tak bardzo chcemy się wykapać i umyć włosy, ale cóż, trzeba było przyjąć to, co jest. Dziękujemy, że mamy dach nad głową, bo tej nocy większość ewangelizatorów noclegów nie ma (inna rzecz, że radzą sobie z tym faktem doskonale – część zostaje na nocnej adoracji, a część rusza ewangelizować, bo miejscowość słynie z nocnych klubów, dyskotek i pubów). Poranek wstaje przepiękny, a zaraz potem okazuje się, że dwie działki dalej jest pole namiotowe, odpoczywa tam znajoma pani Beaty, więc nikt się nie zdziwi, że wejdziemy... a można się wykapać! Pędzimy pod prysznic, a kiedy wracamy, okazuje się, że nasza gospodyni ugotowała dla nas gar fasolki szparagowej, a jedna z nas jako śpiewająca dostaje od niej w słoiczku zmielone siemię lniane. Pomyślałam sobie, że Bóg zawsze troszczy się o to, czego naprawdę potrzebujemy, nawet jeśli po ludzku wydaje się, że się spóźnia... a może to właśnie najbardziej odpowiedni czas?

Służcie sobie nawzajem tym darem, jaki każdy otrzymał (1 P 4,10)

Ewangelizacja, na którą przyjeżdżają ludzie formujący się we wspólnotach w całej Polsce, daje niesamowite doświadczenie mocy Kościoła. Obdarzeni różnorodnymi darami, możemy posługiwać w jedności, aby wielu usłyszało o miłości Bożej. Bardzo mocno uwidacznia się dar modlitwy wstawienniczej – wstawiamy się nie tylko za osoby przychodzące na modlitwę o uzdrowienie (zresztą te modlitwy są bardzo poruszające, zwłaszcza że często robimy tunele modlitewne, wypatrzone u oo. Enrique i Antonello, przez które osoby przechodzą z zamkniętymi oczyma). Modlimy się za osoby napotkane gdzieś na drodze, w sklepie, w ogródku, które zostawiają nam swoje intencje (zdarza się więc, że para ewangelizatorów goni grupę, modląc się po drodze). Wstawiamy się też za siebie nawzajem, co skutkuje między innymi uzdrowieniami nadwerżonych gardła w trzecim czy czwartym dniu posługi, umocnieniem, wytrwaniem... Wystarczy, że ktoś powie, że potrzebuje modlitwy, by usłyszał: „Panie

Jezu, pobłogosław Karolinę, dodaj jej mocy do posługi; pobłogosław Sławka, daj mu dobry sen; pobłogosław Kinię, ulecz ją z bólu gardła; wspomóż Jarka, żeby mógł dalej chodzić i nosić sprzęty, pobłogosław Asię, żeby powiedziała świadectwo z Ducha...” (*nota bene* jeśli ktoś mówi świadectwo, reszta ewangelizatorów automatycznie wyciąga różańce, w końcu, jak zaznacza ks. Radek, wiele cudów w dzisiejszych czasach dzieje się przez wstawiennictwo Matki Najświętszej). Do ewangelizacji Pan powołuje zarówno wygadanych, jak i nieśmiałych (choć taka osoba może posłużyć podczas rozmowy w bardzo istotny sposób – modlitwą!), którym zresztą ta przypadłość dość szybko przechodzi – dary jednych wyzwalają dary drugich. Czasem, oczywiście, przychodzi walka, w której Pan Bóg zwycięża we właściwy sobie sposób. Kacper posługiwał muzycznie, ale pewnego razu na plaży inny z grających podebrał mu gitarę. Wziął więc ulotki, medaliki i... przeżył chwilę wahania: „Wychodzić do ludzi? Czy ja się nadaję? Co ja im powiem?”. Nagle usłyszał, jak pewna mama zawołała do synka, bawiącego się w morzu: „Kacperku, wychodź!”. Uznał, że te słowa



fol. Tomasz Łasko

dotyczą także jego. Służenie sobie nawzajem to także niejednokrotnie świadectwo wobec konkretnej osoby z grupy, zrozumienie, wysłuchanie, słowa otuchy. Troska o innych pozwala zapomnieć o sobie, własnym zmęczeniu. A nowych sił dostajemy, kiedy tylko zaczynamy ewangelizować.

Uzdrowiajcie chorych, wskrzyszajcie umarłych (Mt 10,8a)

Ewangelizacja to niekoniecznie tylko mówienie. Z troską matki potrafią wyliczyć całą gromadkę osób,

mężczyzn. Obfite brzuchy piwne, alkohol, głośna muzyka. Jeden z nich wyciąga w naszą stronę rękę, a koleżance kojarzy się to ze słynnym freskiem z Kaplicy Sykstyńskiej i po prostu czuje, że musimy tam podejść. Początkowo wydaje się to bezsensowne, chłopaki wygłupiają się, próbują nas podrywać, proponują alkohol, ale w sukurs przychodzą nam kolejne osoby z grupy – dwie dziewczyny, chłopak i kleryk. Jedni się modlą, drudzy rozmawiają (choć potrzeba dużo cierpliwości i słuchania). W pewnym momencie jeden z naszych rozmówców – w którym widać duży lęk przed śmiercią – woła: „Bo ja bym z Bogiem chciał tak

normalnie... koleś, chodź tu, pogadaj ze mną!”. Wiemy, że ilekroć ktoś wzywa Pana, aby przyszedł do jego życia – On wysłuchuje tej prośby. Chłopak przyjmuje Cudowny Medalik i choć na pożegnanie gada jeszcze głupstwa, przychodzi jednak wraz z drugim towarzyszem na mszę świętą, a kiedy modlimy się za niego w tunelu, widzimy, że został przemieniony...

Nie jest tak, że tylko my dajemy. Otrzymujemy wiele od tych, którzy nas

które potrzebują modlitwy. Czasem trzeba zwyczajnie pozwolić się komuś wygadać. Uczymy się dostrzegać dobro w tych, którzy początkowo się z nas wyśmiewają (choć miałyby się ochotę przerwać i coś wyjaśnić), bo nieraz okazuje się, że Pan Bóg ma w tym swój plan. Stoimy w trójkę (trzy dziewczyny) przed roslym mężczyzną, który najpierw ironizuje, a potem wyrzuca z siebie listę zażaleń, zgadza się jednak na modlitwę za siebie. Co ciekawe, Pan Bóg prowadzi nas w niej w ten sposób, że dziękujemy za dobro, które jest w jego sercu, za pragnienia, za wrażliwość na cierpienie innych. „Nigdy jeszcze nie słyszałem takiej modlitwy!” – mówi po jej zakończeniu i... kontynuuje swoje przemyślenia. Wreszcie kończy słowami: „No, wyrzuciłem z siebie to, co we mnie siedziało!”. Wieczorem okazuje się, że przychodzi na mszę świętą i bardzo ją przeżywa. Kiedy dowiadujemy się, skąd pochodzi, podpowiadamy mu, że całkiem blisko jego miejscowości są sprawowane msze święte z modlitwą o uzdrowienie i pręźnie działa pewna wspólnota. Innym razem przechodzimy obok parawanu, za którym siedzi czterech młodych

wspierają (czy to noclegiem, czy to pożywieniem, czy to dobrym słowem), oni sami są dla nas świadkami. Jednego wieczoru świadectwo składa pani, która kilka lat temu spotkała ewangelizatorów na plaży. Czekala wtedy na poważny zabieg, chorowała na raka. Nad morzem chciała nabrać sił psychicznych przed operacją. Udała się na wieczorną mszę świętą i... została uzdrowiona. Lekarz, który ją potem badał, był przekonany, że jest już po zabiegu. W pewnej parafii podczas wieczornej adoracji mały chłopiec modli się, padając na twarz przed Panem. Przez lata był poważnie chory, tak się przyzwyczaił do stomii, że uważał ją za coś naturalnego. Jego rodzice trwali na modlitwie (a Słowo Boże wciąż mówiło im o tym, że zostanie uzdrowiony), jednocześnie robiąc wszystko, co z perspektywy medycznej było właściwe. I stało się tak, jak im Bóg obiecał. Mały jest słodkim urwisem, radością swoich rodziców i starszej siostry, ulubieńcem ewangelizatorów, z którymi przybija piątki... ale w kościele swoją postawą wskazuje na istnienie innej rzeczywistości.

Jeden dzień w przybytkach Twoich lepszy jest niż innych tysięcy (Ps 84,11)

Podczas gdy grupa ewangelizatorów wychodzi na plaże i ulice miasteczek, na adoracji zawsze pozostają dwie osoby. To czas wstawiennictwa, ale też nabierania sił i mocy do posługi, osłona w walce duchowej. Wpatrując się w Oblicze Pana, doświadczamy uzdrowienia. Nie czujemy przemijającego czasu, dobrze nam być z Nim... nawet jeśli myśli czasem ulatują. Jedna z osób dziwi się, że podczas tegorocznych wieczornych adoracji i modlitw o uzdrowienie nie było (choć kto wie?) fizycznych uzdrowień. Ale wiemy, że najważniejsze jest to, co Bóg zmienił w naszych sercach. Chociaż w trakcie jednej z adoracji wcale o tym Panu nie mówiłam, poczułam, że ciężar, który złożyłam Mu przed wyjazdem, został ode mnie odcięty.

Kiedy dajemy Panu nasz czas, On nam daje jeszcze więcej... i warto to zapamiętać. Modlimy się z koleżanką o normalny obiad dla ewangelizatorów – nie żadną pizzę i kanapki, tylko o rybę i surówkę. Inna z dziewcząt dodaje, żebyśmy jeszcze pomodliły się o frytki (w końcu warto uszczegółowić, o co prosimy). Któregoś dnia rano dowiadujemy się, że w jednej z restauracji postanowiono nas tak uraczyć – za darmo. Ale tego dnia myślałam o pozostaniu na adoracji i naprawdę musiałam trochę ze sobą powalczyć... jakby ten obiad był rzeczywiście czymś ważniejszym. Zostajemy z kolegą na adoracji. Po pewnym czasie

przychodzi do nas osoba z grupy i mówi: „Zastąpię was, idźcie na obiad”. Okazuje się, że do naszych porcji dołożono jeszcze to, czego niektórzy nie mogli zjeść. Nie dostajemy więc jednej, ale cztery ryby, podwójną surówkę i frytki... Spróbujcie wyobrazić sobie porcję obiadową, której mężczyzna nie może zmieścić!

Po powrocie do Koszalina część z nas nie wyjeżdża od razu do domów, zostajemy, aby odpocząć. Inni z kolei przygotowują się na kolejne wyjazdy ewangelizacyjne – podczas koncertu Sunrise, na Przystanek Jezus, na ewangelizację wioskową. Po mszy jeden z kleryków prosi o modlitwę, więc w kilkanaście osób idziemy do małego pokoju. Potem o modlitwę prosi kolejna osoba, i kolejna, i kolejna, co chwilę ktoś dochodzi. Wspólna modlitwa wstawiennicza kończy się po trzech godzinach. Czy jesteśmy zmęczeni? Trochę tak, ale wsparci modlitwą i Słowem Bożym (a fragment otrzymany przez każdego z nas indywidualnie zapewnia, że Bóg zna nas doskonale i przenika każdą sytuację – por. Ps 139), po trzech godzinach posługi wyglądamy... dużo lepiej.

Taki oto początek znaków uczynił Jezus (J 2,11)

Pozostaje jeszcze powrót do domu. Zasadą jest, aby nie brać na niego pieniędzy – Pan się zatroszczy. To zdanie jest często powtarzane na rekolekcjach, widzimy, jak Bóg zajmuje się wszystkimi naszymi potrzebami podczas ewangelizacji. Kiedy chodzimy po nadmorskich miasteczkach, nie przyjmujemy od ludzi pieniędzy, ale jeśli ktoś koniecznie chce je dać, składamy je na fundusz dla osób, które nie zabezpieczyły swojego powrotu. Mogłam podejść po nie dopiero wieczorem w przeddzień wyjazdu, a tu przykra niespodzianka – organizatorka wydała je tak wielu osobom, że teraz już nie jest w stanie pomóc kilkorgu z nas, proponuje co najwyżej powrót BlaBlaCarem. Przypomina mi się jednak małżeństwo, które niegdyś wspierało naszą wspólnotę noclegiem, kiedy przyjeżdżaliśmy do Koszalina z własnymi materiałami ewangelizacyjnymi. Dzwońnię do nich, czy moglibyśmy pożyczyć mi pieniądze na powrót – cały dzień byli poza miastem, ale już wracają i oczywiście pomogą. Okazuje się jednak, że Łucja i Przemek nie chcą pożyczyć – ale podarować, i to dużo więcej, niż potrzebuję. I znów Pan Bóg pokazał mi, że kiedy On się o coś troszczy, to daje o wiele więcej, niż po ludzku myślimy i moglibyśmy się spodziewać.

W niedzielę rano przed wyjazdem proszę jeszcze Pana o Słowo dla siebie i otwieram Pismo Święte: *Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie (J 2,11)*. Jeśli to dopiero początek, to obym już żadnego z nich nie przegapiła!



foto: Tomasz Łasko



foto: Katarzyna Kotula

DOŚWIADCZYŁAM SPOTKANIA TWARZĄ W TWARZ

świadectwo



Chciałabym się z wami podzielić najpiękniejszym momentem w moim życiu, kiedy doświadczyłam obecności Pana Jezusa. Najpierw jednak powiem coś o sobie i jak moje życie wyglądało wcześniej. Obecnie kończę II roku studiów w Toruniu. Wychowywałam się w małej wiosce na Mazurach, koło Mrągowa. Pochodzę z rodziny na pozór normalnej. Na zewnątrz wszystko wyglądało dość standardowo: mama, tata, starsza siostra i ja. Wewnątrz jednak bywało różnie. Pamiętam z dzieciństwa dużo kłótni, sporadycznie pojawiał się alkohol, aż w pewnym momencie, niespełna tydzień po mojej I Komunii św., mój tata stwierdził, że się wyprowadza. Tak też zrobił. Jako dziecko przeżyłam to bardzo mocno, nie rozumiałam, dlaczego tak postąpił i dlaczego nagle zniknął z mojej codzienności. Nie było to łatwe ani dla mnie, ani dla mamy i mojej siostry. Mama sporo wtedy ze mną przeszła, bo potrafiłam budzić się w nocy z płaczem i pytać, dlaczego taty z nami nie ma. Wszystko cierpliwie starała się mi wytłumaczyć, jednak moja relacja z tatą znacznie się

pogorszyła. Byłam mała, zupełnie tej sytuacji nie rozumiałam. Nie wiedziałam, dlaczego się to stało, jak długo tak będzie, szukałam też winy w sobie, choć jej tam nie było. Nie odbiło się to jednak na mojej nauce, w szkole dalej dobrze sobie radziłam, zdobywałam świadectwa z czerwonym paskiem, ale ponieważ rozwody 12 lat temu nie były tak powszechne, czułam się czasami gorsza od moich rówieśników. Nadrabiałam wszystkim innym, żeby czuć się akceptowaną. Miałam swoją grupę przyjaciół, zawsze byłam lubianą osobą. W gimnazjum angażowałam się w wiele rzeczy, np. samorząd szkolny czy konkursy. Znalazłam tam bliskich ludzi, wśród których to, że tata nie mieszka z nami i rodzice są po rozwodzie, traktowano „normalnie”. To już nie była jedyna taka sytuacja w klasie, lecz jedna z wielu. Nauczyłam się żyć ze świadomością, że mój tata odszedł i jest to wpisane w scenariusz mojego życia.

Sytuacja w domu była dość trudna, mama utrzymywała nas sama, więc w pewnym momencie postanowiła zacząć pracę w Warszawie. Wiązało się to

z tym, że przyjeżdżała do domu co dwa, trzy tygodnie i w tamtym okresie moja relacja z nią również się pogorszyła. Stałam się bardzo samodzielna, musiałam szybko dorosnąć i radzić sobie z wieloma rzeczami sama. Zamieszkała z nami siostra mojego dziadka, ale nie miała na mnie zbyt dużego wpływu. Tak naprawdę robiłam, co chciałam. Mama starała się to wszystko kontrolować, na ile mogła, ale nie było jej w codzienności. Skończyłam gimnazjum z dobrymi wynikami w nauce, akceptowana przez rówieśników, ale cały czas gdzieś w środku nosiłam poczucie opuszczenia i samotności. Nie było to łatwe. Pójście do liceum wiązało się ze zmianą środowiska – większe miasto, kolejni ludzie, nowa szkoła. Radziłam sobie w tym wszystkim, miałam przykład mojej mamy – kobiety niezależnej, więc sama przybrałam taką pozę. Stwierdziłam, że sobie poradzę, bo przecież muszę – jak zawsze. Minęła pierwsza klasa i moje życie toczyło się bez zmian. Później zaczęła się druga klasa i był to rok osiemnastek. Moje urodziny są w październiku, więc zanim wyprawiłam swoje, byłam na wielu imprezach wcześniej, a że byłam lubiana, to zapraszano mnie na wszystkie po kolei. Zawsze się usprawiedliwiałam, że przecież nie robię nic złego, nie piję, nie palę, idę tylko potańczyć. Ale sami wiecie, co tam się dzieje: są rzeczy, które nie budują, ale ściągają w dół.

W pewnym momencie okazało się, że zmieniają mi nauczyciela informatyki. Uczylałam się w klasie o profilu matematyczno-fizyczno-informatycznym, więc to był ważny przedmiot. Po pierwszej lekcji załamalam się, bo okazał się być bardzo wymagający. Z racji tego, że u mnie w grupie było dużo dziewczyn (a na tym profilu nieczęsto się to zdarzało), widział, że potencjału w nas nie ma. Nie dało się ukryć, że niezbyt jesteśmy zainteresowane C++, programowaniem itp. Robiliśmy tyle, ile byliśmy w stanie, ale chęci w nas brakowało. Zaczął wtedy więcej z nami rozmawiać na inne tematy: o świecie, gospodarce, marzeniach, ale i sensie życia, pytał, po co w ogóle istniejemy, dlaczego tu jesteśmy. Nie były to łatwe pytania. Co czwartek wychodziłam, zastanawiając się, do czego to wszystko prowadzi. Jego słowa zmuszały mnie do myślenia. Pomimo świadomości tego, jak jest trudno dookoła, miał w sobie wewnętrzną radość i pokój. Mówił zresztą, że jest szczęśliwym człowiekiem. Zaintrygowało mnie to, poszłam go zapytać, skąd ta jego radość i pokój. Po kilku rozmowach podzielił się ze mną swoim doświadczeniem Pana Boga i stwierdziłam, że to ciekawe. „Doświadczenie Boga” było dla mnie słowem-kluczem, bo nigdy tego nie przeżyłam, nie wiedziałam, jak to w ogóle może się odbyć.

Niedługo później mój nauczyciel powiedział mi, że dostał informację o rozpoczynających się wkrótce rekolekcjach – Oazie Nowego Życia pierwszego stopnia w Bieszczadach. On sam za dużo o tym nie wie, ale

prześle mi kilka słów o tym od dziewczyny, która tam była. Przeczytałam ten tekst i dotknęło mnie ostatnie zdanie, które brzmiało: „Zły zrobi wszystko, żebyś tam nie pojechała”. Od razu powiedziałam sama do siebie: „Ja nie pojedę?!”. Pragnienie DOŚWIADCZENIA było ogromne, więc stwierdziłam, że muszę jechać. Okazało się, że to 15 dni plus dojazd, więc perspektywa nie była taka wesoła i nikt z moich znajomych nie chce jechać ze mną. Każdy stwierdzał, że nie zamierza marnować ponad 2 tygodni wakacji na jakieś rekolekcje. Moje pragnienie w sercu było jednak większe. Finansowo było to dość trudne, bo dodatkowo w tym czasie chciałam zrobić prawo jazdy, a mama zgodziła się na wyjazd, jeśli wybiorę jedną z tych rzeczy. Na szczęście mój wspaniały ojciec chrzestny sfinansował mi kurs, więc miałam pieniądze na rekolekcje. Kiedy dojechałam na miejsce, zdziwiłam się, bo okazało się, że wszyscy są jakoś związani z Kościołem, a ja – wyrwana ze świata i wpakowana w takie towarzystwo. Modlitwy wieczorne były zupełnie w innej formie niż ta, którą znałam z kościoła. Kiedy oglądałam osoby, które uwielbiają Pana Boga, podnosząc ręce w górę, stwierdziłam, że to niepotrzebne, ale dobra – trzeba mieć trochę wolności i tolerancji.

Przez pierwsze cztery dni raczej obserwowałam, nie angażowałam się za mocno, ale kolejnego dnia była szczególna modlitwa. Ksiądz zapowiedział, że kiedy się otworzymy i zawołamy, to Pan Jezus przyjdzie i będzie szansa na to, żeby Go właśnie dziś DOŚWIADCZYĆ. To mnie pociągnęło: „O, teraz jest okazja! Wchodzę w to, po to tu jestem!”. I zawołałam do Pana Boga: „Pasterzu, przyjdź!”. Wieczorem, kiedy wchodziłam do kościoła, miałam zamknięte oczy, a Pan Jezus stał na ołtarzu w Najświętszym Sakramencie. Kiedy byłam przed Nim, usłyszałam słowa księdza: „Alicjo, to jest specjalnie dla ciebie” i otworzyłam oczy. Kiedy spojrzałam na monstrancję, wiedziałam, że to nie jest zwykły opłatek, ale żywy Jezus, że On na mnie patrzy. Doświadczyłam spotkania twarzą w twarz, oko w oko i to był piękny moment, przemieniający mnie. Jego łaska ogarnęła wszystkie myśli, zmysły, serce tak bardzo, że padłam przed Nim, bo byłam pełna wdzięczności i poczucia niegodności, że On obdarowuje mnie taką miłością, spotkaniem, doświadczeniem, a ja na to nie zasłużyłam. Była to najpiękniejsza chwila w moim życiu. Modlitwa trwała dalej, przeszłam za ołtarz, siedziałam i uwielbiałam Pana Boga przez cały wieczór. Narodziłam się na nowo, moje serce zostało przemienione w jednej chwili.

W trakcie rekolekcji mieliśmy wiele innych modlitw, w ciągu dnia jutrznia, msza święta, śpiewy – nie będę streszczać tego czasu szczegółowo, powiem tylko, że warto jechać na takie rekolekcje – ale był też dzień, kiedy mieliśmy uczestniczyć w modlitwie wstawienniczej. Nie wiedziałam, co to takiego,

podpytywałam animatorów, z jaką intencją można na nią pójść. Kapłan zachęcał, żeby prosić w swojej intencji, nie w czyjejś. Myślałam o tym, że matura przede mną, ale czułam, że to słaby pomysł, żeby prosić Pana Boga o dobre wyniki, że trzeba wejść trochę głębiej. Ponieważ był to czas wyciszenia, więc w trakcie tych kilku dni zastanawiałam się nad swoim życiem, rodziną, jak to wszystko wyglądało, jak się zachowywałam, co robiłam i przyszła mi myśl, że czuję się w życiu bardzo samotna i opuszczona, bo kiedy miałam 8 lat, tata odszedł ode mnie. Odkryłam wtedy, że nie wybaczyłam mu tego, czuję do niego ogromny żal, który żyje we mnie przez te wszystkie lata. Zagłuszyłam go, ale on jest w moim sercu bardzo głęboko. Wtedy stwierdziłam, że pójdę z intencją, aby prosić o wybaczenie. To znów był moment bardzo hojnej łaski Pana Boga. Pan Jezus pozwolił mi przebaczyć, uwolnił mnie od tego poczucia niesprawiedliwości, porzucenia, osamotnienia, zostawienia. Pozwolił mi spojrzeć na mojego tatę z większym zrozumieniem, z miłością. Słowa, które otrzymałam podczas tej modlitwy, to słowa Jezusa, który wisi na Krzyżu i woła: „Ojcze, czemuś mnie opuścił?”. Jezus stał mi się wtedy bardzo bliski, bo wiedziałam, że On mnie rozumie. Mój mały krzyż mogłam włączyć w Jego zbawczy Krzyż i doświadczyć przemiany żalu w błogosławieństwo. Co więcej, pokazał mi, że to Bóg jest jedynym i najlepszym Tatą, który kocha bezgranicznie i bezwarunkowo. Wtedy

moje życie zaczęło się zmieniać. Wróciłam do domu i okazało się, że tam wszystko dalej wygląda tak samo, ale przemieniło się moje nastawienie i serce. Pan Bóg to sprawił i moja relacja z tatą też zaczęła się przemieniać. Zauważyłam, że on się stara, a ja stałam się na niego otwarta i Pan Jezus dał łaskę uzdrowienia. To było przepiękne.

Zaangażowałam się w oazę w Mrągowie i moi starzy znajomi, z którymi miałam tyle przygód i różnych wspomnień, zaczęli powoli się ode mnie odsuwać. Stopniowo otwierałam się bardziej na relacje, których fundamentem jest Bóg. Przestałam chodzić na imprezy, bo nie widziałam w tym żadnej radości, przyjemności. Pan Jezus zatroszczył się o mnie i zaczęłam spotykać osoby zakorzenione w Bogu, które Go poznały, obdarzył mnie takimi przyjaciółmi. Widzę, jak Pan Jezus prowadzi, kiedy zaprosimy Go do swojego życia. Musimy Mu otworzyć, bo On nie wejdzie na siłę. W momencie, kiedy zawołałam do Niego, On zaczął przemieniać moje życie. Prowadzi mnie cały czas i doświadczam tego w codzienności. Przyprowadził mnie do Torunia, gdzie trafiłam do wspólnoty Poślanie i mogę Go tu poznać, służyć na Jego chwałę. Mam nadzieję, że moje świadectwo zrodzi w was pragnienie, żeby, patrząc na Pana Jezusa Eucharystycznego, doświadczyć, że jest On żywy.

Alicja



ON jest Światłem

Mam na imię Tomek i chciałbym się z wami dzisiaj podzielić radością tego, który był bardzo daleko od Pana Jezusa, a odnalazł się; był martwy duchowo, a ożył, kiedy spotkał się z Nim. Moje życie wiary, jak zdecydowanej większości z was, rozpoczęło się typowo, przez chrzest, kiedy byłem małym dzieckiem, ale nie zdążyło się rozwinąć, bo nagle życie moich rodziców się rozpadło. Kiedy miałem 8 lat, przyszedł moment I Komunii świętej, bardzo ważny przecież w życiu duchowym, który chce się dobrze pamiętać i który wspaniale wspomina wielu świętych. Moi rodzice postanowili dotrwać do tego czasu – bo ich małżeństwo się nie udało – a potem się rozejść. I tak się stało. Zamiast komunii miałem pęknięte serca. Przede wszystkim w tym cierpieniu w mojej rodzinie pękło Serce Jezusa, także moje serce – małego chłopaka, dziesięcioletniego – bo jeszcze te dwa lata rodzice przetrwali w wielkiej niezgodzie, kłótniach, awanturach; pękły też serca moich rodziców. Wielkie zranienie pogrzebało wiarę, zanim zaczęła owocować. Legł w gruzach świat autorytetów.

Kiedy rodzice się rozeszli, bardzo zamknąłem się w sobie. Czułem się załęczony, samotny. Nie

wiedziałem, jak się do tego zabrać, bo byłem za młody, więc jakoś to w sobie tłumiliem, tłumaczyłem, że w zasadzie nic się takiego nie stało, przechodziłem nad tym do porządku dziennego. Byłem wychowywany przez tatę, który starał się, jak mógł, kochać mnie, dbać o mnie, ale nie podołał temu. Bardzo się zbuntowałem w swoim zamknięciu, osamotnieniu. Znalazłem szybko wielu innych chłopaków z podobnymi historiami i już w szkole podstawowej ani z Jezusem, ani z dobrem nie miałem wiele wspólnego. Wpadłem w wir zła, pojawił się alkohol, narkotyki, więcej czasu spędzałem na ulicy i pod osiedlowymi sklepikami mojego małego miasteczka niż w domu. Nie miałem relacji z tatą. Był on raczej stróżem, który starał się, jak mógł, z całą troską i miłością dbać o to, żebym się kompletnie nie wykoleił, bo na to się zanosilo. Ale czy w tym wszystkim Jezus nie był obecny? Tego powiedzieć nie mogę, bo zawsze nosiłem w sobie jakąś tęsknotę, pomimo tego że pogrzebałem autorytety – rodziców, nauczycieli, Kościoła. Ciągłe miałem w sobie tęsknotę, dialog, który pojawiał się co jakiś czas, pomimo ciemności, wszystkich osiedlowych wypadów, pobytu w mrocznych zakamarkach. Nie wiem, czy rozmawiałem sam ze

sobą, czy jednak było to jakieś pragnienie spotkania z Bogiem. Poza tym Jezus stawał na mojej drodze ludzi, którzy byli światłem. Byli oni związani z Kościołem i mieli dobrą z nim relację. To mi się podobało. Byli dla mnie dobrzy, pomagali mi często, np. w nauce, kiedy miałem problemy. Pojawiałem się nawet sporadycznie w kościele, pociągała mnie mądrość Słowa Bożego, ale nie miałem odwagi ani wiary, żeby wejść w to głębiej, zawsze wracałem do swoich poplątanych relacji, opartych o kłamstwo, o dobrą zabawę alkoholową i narkotykową. A co robiłem z potrzebami życia duchowego? Jakoś człowiek musi sobie radzić, więc w tym poczuciu porzucenia, pólsieroctwa, skoro oddaliłem się od Kościoła, zacząłem szukać bardzo obłądnie. Najpierw w magii, żeby mieć moc, żeby móc kontrolować innych. Potem zacząłem interesować się tym, co było bardzo egzotyczne nawet dla moich kolegów anarchistów, z którymi przecież spędzałem czas, słuchałem muzyki, buntowałem się, robiłem różne rzeczy, z których nie jestem dumny – zacząłem wędrować w stronę Dalekiego Wschodu, historycznych kultur Chin, Indii, w techniki medytacyjne, wsiąkałem w to. Ale to wszystko nie dawało mi szczęścia. Ciągle opadałem, coraz bardziej, do czego przyczyniały się także narkotyki, których nadużywałem. Coraz bardziej zapadałem się w siebie, coraz mniej miałem radości życia. Jako nastolatek czułem się kompletnie stracony. Jest to jakaś rzecz niebywała, bo wtedy przecież powinienem kipieć życiem. Nie miałem wiary w drugiego człowieka, nie widziałem przed sobą sensu.

Chociaż sprawiałem rozliczne problemy wychowawcze, ocierające się o spotkania z pedagogami i policją, udało mi się zakończyć edukację z całkiem dobrymi wynikami i w takiej beznadziei życiowej przyjechałem z mojego małego miasteczka do Torunia na studia. To, co fascynowało moich kolegów na studiach – słynne zerwanie się z łańcuszka rodziców – mnie już nie dotyczyło, więc dalej trwałem w swojej ciemności, wewnętrznej beznadziei i nie widziałem rozwiązania na swoje życie. Pojawiały się depresyjne nastroje, częściej myślałem o śmierci niż o życiu, studia nie były dla mnie żadną perspektywą. Jak wcześniej, w szkole podstawowej, Pan Bóg dawał ludzi, którzy byli świadkami Jego miłości, tak tutaj też postawił człowieka, który nie wypierał się Go, a był niezwykle koleżeński. Zaprzyjaźniliśmy się, a jego postawa to było świadectwo, jakim promieniował. On, który był związany z Kościołem, niesamowicie inteligentny, a przy tym dobry, pociągał mnie, a w ten sposób przyciągał też do Kościoła. Nie tak, żebym nagle z anarchisty i hinduisty czy buddysty stał się katolikiem, ale na tyle, że dopuściłem możliwość, że Kościół nie jest taką zupełnie beznadziejną instytucją, że ma też dobrych synów. Rafał był jednym z nich. Dzięki temu pojechałem do Krakowa odwiedzić mojego wuja-

zakonnika, z którym byłem skłócony przez wiele lat. Skoro pogrzebałem autorytety, to przez lata wrogiem naczelnym był wuj. Byłem antyklerykałem, więc on musiał spijać cały jad, który wylewałem na kapłanów; ignorancję, z którą go traktowałem; cynizm, bo wszystkie rozумы pozjadałem. Zacząłem zastanawiać się nad możliwością życia duchowego, które oferuje



chrześcijaństwo i trafiłem do tynieckich benedyktynów. Chciałem prowadzić głębokie życie duchowe, a myślałem, że jest ono możliwe tylko wtedy, kiedy się zostaje mnichem, pustelnikiem. Pomyślałem więc sobie: pojedę tam, porozmawiam z mnichem, jak to wygląda. Benedyktyn powiedział, że nie widzi we mnie powołania do życia monastycznego, ale to nie znaczy, że nie mogę prowadzić życia duchowego w tym stanie, w jakim Pan Bóg mnie widzi. Była to pierwsza po wielu latach rozmowa z osobą duchowną, której zaufałem, przed którą się otworzyłem. W czasie tej zwykłej rozmowy poczułem się tak niesamowicie brudny po tych latach prowadzenia życia totalnie grzesznego, bez żadnych autorytetów, że poprosiłem go o spowiedź. Nic niezwykłego się nie stało, nie uniosłem się nad ziemię ani nie słyszałem jakichś dźwięków – nic poza doświadczeniem wolności i tym, że miałem

zadaną pokutę. W jej ramach miałem przeczytać *Ewangelię św. Jana*, te fragmenty, w których Jezus mówi o sobie, że jest światłością świata, że kto idzie za Nim, nie będzie chodził w ciemnościach. Wykonałem to. Była to niesamowita odpowiedź Boga, bo kiedy wspomnę mroczne czasy szkoły podstawowej, „bujania się” z dziwną „klientelą” i tych tęsknot, dialogów z

siłą wyższą, to pamiętam, jak chciałem, żeby mnie prowadziło światło. Tak jak Budzyński śpiewa o tym w jednej z piosenek Armii: „Światło, prowadź”. Nie wiedziałem, co to jest za światło, ale chciałem, żeby mnie prowadziło. I teraz po tylu latach do tego momentu, kiedy przyszedłem do spowiedzi, Pan Jezus przez usta kapłana daje mi pokutę i okazuje się, że kto jest tym światłem? On sam. Niesamowite, *eureka!* Kiedy to widzę, jestem wdzięczny Panu Bogu, że tak to wszystko poprowadził.

Oczywiście, ta droga była bardzo kręta. Nie stało się tak, że po tej spowiedzi moje życie wyglądało już bardzo dobrze. Byłem świadom, że jestem jeszcze w wieku niemowlęcym, jeżeli chodzi o wiarę. Przeszedłem Seminarium Odnowy Życia w Duchu Świętym w tej wspólnotie i po jego przejściu wydawało mi się, że już jestem wyedukowanym katoli-

kiem, który będzie mógł prowadzić bardzo głębokie życie duchowe i nie wiązałem już większych myśli ze wspólnotą. Jednak człowiek, który myśli, że jest w stanie sam zbudować wiarę, jest w głębokim błędzie. Bardzo boleśnie się o tym przekonałem. Wróciłem do starego życia, jednak dzięki osobom ze wspólnoty, które cierpiały i modliły się za mnie, ofiarowały wiele mszy świętych, udało mi się wrócić do wspólnoty, do wiary w Boga. Ważnym momentem na tej drodze duchowego wzrastania, poznawania Jezusa Chrystusa były rekolekcje ignacjańskie, które przeżywałem jeszcze w Wolborzu (teraz oo. jezuitów z Łodzi prowadzą je w Porszewicach) i tam miałem spotkanie z Jezusem, który jest Dobrym Pasterzem, który jest miłosiernym Panem, który rzeczywiście przyszedł, aby zapłacić mój dług. To już nie było doświadczenie innych osób, które mi o tym opowiadały, ale moje doświadczenie spotkania z Jezusem Miłosiernym. Ten Jezus, który po spowiedzi, nawet po seminarium był dla mnie kimś rozmytym, mimo wszystko odległym, stał się bliskim, kimś, z kim mogę budować relację i to też czynię. Początki życia wiary w moim wypadku były trudne, dlatego że, tak jak powiedziałem wcześniej, otarłem się o bardzo wiele rzeczy związanych z fałszywymi kultami, z okultyzmem, z ezoteryzmem, z praktykami dalekowschodnimi, a to nie pozostało bez skutku. Bardzo trudno było mi wierzyć w Jezusa, w Boga osobowego. Ten cały bałagan, który New Age zrobił mi w głowie, nie pozwalał mi wierzyć. Musiałem stoczyć niejedną walkę, niejedną raz udawałem się do kapłana, żeby modlił się za mnie, niejedna msza była ofiarowana w mojej intencji, ale w tym wszystkim nie byłem sam. W odróżnieniu od życia przed nawróceniem, zmieniło się to, że jestem z Jezusem, że czuję prowadzenie, że On jest w mojej codzienności i ona ma sens pomimo trudności, różnych ciężarów. Na początku nawet fizycznie źle się czułem, dochodziło do omdleń, kiedy byłem w kościele, przychodziły mi do głowy błuznierstwa. Nie jest tak, że wszystko się zmieniło jak za pstryknięciem palców. Jest to droga, którą przeszedłem dzięki wspólnotcie, droga wiary w Jezusa Chrystusa. Kim stał się On dla mnie? Tym, kim był dla Apostołów. Coraz bardziej Go odkrywam – Tego, który jest ten sam wczoraj, dziś i na wieki. Mój Jezus to Ten, którego znam z Ewangelii, Ten, który odnalazł mnie – zbłąkaną owcę – który nadał kierunek mojemu życiu, sens, który pozwolił mi zbudować udaną rodzinę, choć sam wyszedłem z rozbitej, Ten, który ciągle otwiera przede mną drogę, perspektywy na nieograniczonosc. Chwała za to Panu!

Świadectwo wygłoszone 19 I 2015 r. podczas Seminarium Odnowy Życia w Duchu Świętym, prowadzonego przez Wspólnotę Posłanie

Zaufać Bożej Opatrzności

*Gdy patrzę na Twe niebo, dzieło Twych palców,
księżyc i gwiazdy, któreś Ty utwierdził:
czym jest człowiek, że o nim pamiętasz,
i czym – syn człowieczy, że się nim zajmujesz?
Uczyliś go niewiele mniejszym od istot
niebieskich,
chwatał i czcią go uwieńczyliś.
Obdarzyliś go władzą nad dziełami rąk Twoich;
złożyliś wszystko pod jego stopy.*

(Ps 8,4-7)

Bóg obdarzył nas wielką godnością, stwarzając na Swoj obraz i podobieństwo, dając udział we władaniu ziemią. A kiedy zgrzeszyliśmy, nie odrzucił nas, jak upadłych aniołów, lecz ofiarował nam Swego Syna, aby, stając się Człowiekiem, zapłacił za nas Swoją krwią i otworzył zamknięte bramy raju. Przez Jezusa zostaliśmy nie tylko zbawieni, ale w Nim też przez

Ojca usynowieni. Wszystko to jest dziełem Bożej Opatrzności.

Zrozumieć Boży zamysł

Człowiek współczesny tak bardzo ufa sobie i własnym możliwościom, że temat Opatrzności przestał być dla niego zrozumiały, a tym bardziej atrakcyjny. Od dziecka jesteśmy stymulowani, żeby być samodzielnymi, niezależnymi i prącymi do przodu w celu odniesienia sukcesu. Jednak Boże plany i zamysły są niezmiennie. Mimo upływu lat Jego słowa przekazane przez św. Katarzynę ze Sieny brzmią bardzo aktualnie: *O szalony człowiecze, czy nie widzisz, że mądrość swą posiadasz nie z siebie, lecz dała ci ją dobroć moja, która dba o twoje potrzeby? Co tego dowodzi? Twoje własne doświadczenie. Ileż razy pragnęliś uczynić coś, a nie mogłeś i nie umiałeś tego uczynić? Innym*

zdola oderwać cię od niej i wtrącić cię na powrót w grzech; chyba że się sam zmienisz. Jakże więc możesz podnosić głowę przeciwko dobroci mojej? Nie uczyniłbyś tego, gdybyś chciał słuchać rozumu; nie mógłbyś ufać sobie i zawierzyć własnej mądrości. Lecz ponieważ stałeś się nierozumnym zwierzęciem (por. Ps 49,13; 1 Kor 2,14), nie widzisz, że wszystko się zmienia, z wyjątkiem mej łaski. Czemu nie ufasz Mnie, który jestem twym Stwórcą? Bo ufasz sobie. Czyż nie jestem ci wierny i oddany? Niewątpliwie, tak. Nie możesz tego nie widzieć, bo doświadczasz tego co dzień. Zaufanie sobie prowadzi człowieka do zamętu, do pomyłek, do grzechów, a w konsekwencji do śmierci wiecznej. Dlatego Bóg wzywa nas do zaufania Jego dobroci, Jego Opatrzności, gdyż On chce nas prowadzić do zbawienia. Wszystko, co czyni dla nas, podporządkowane jest temu nadrzędnemu celowi.

Trudne pytania

Wiele osób na drodze otwarcia się na Opatrzność Bożą potyka się o problem cierpienia własnego czy innych ludzi. Stąd tak często padają z naszych ust słowa zdziwienia, niezrozumienia, braku akceptacji, co można by ująć w tym jednym pytaniu: dlaczego? Warto przyjąć do serca wyjaśnienia przekazane nam przez św. Katarzynę: *Lecz opatrzność ma zsyła też wszystko w szczególności: życie i śmierć, i towarzyszące im okoliczności, głód, pragnienie, utratę stanowiska w świecie, nagość, zimno, gorąco, obelgi, szyderstwa, zniewagi. Dopuszczam, aby wszystkie te rzeczy zdarzały się wśród ludzi, choć nie Ja jestem przyczyną przewrotności woli tego, który czyni zło i wyrządza zniewagi. Ode Mnie otrzymuje istnienie i czas. A daję mu istnienie i czas nie po to, aby obrażał Mnie i bliźnich swoich, lecz aby z miłością służył Mnie i swoim braciom. Przyzwalam na ten czyn, czy to dlatego, aby wypróbować cnotę cierpliwości w tym, którego on dotyka, czy to dlatego, aby on ją rozpoznał. Bóg zna nasze słabości i nie gorszy się nimi, ale oczekuje tego samego w stosunku do Jego działania. Nawet jeśli nie rozumiemy czegoś, powinniśmy zdać się na Opatrzność, zaufać Jej bezgranicznie. W stosownym czasie wiele spraw stanie się dla nas jaśniejszymi. Bo myśli moje nie są myślami waszymi ani wasze drogi moimi drogami – wyrocznia Pana. Bo jak niebiosa górują nad ziemią, tak drogi moje – nad waszymi drogami i myśli moje – nad myślami waszymi (Iz 55,8-9). To nie Bóg ma się do nas dostosować, ale my do Niego. Z powodu grzechów nasze umysły są zaćmione, wychodząc z nich, zaczynamy żyć w świetle Jego nauki. Na tej drodze potrzebujemy nieustannie dorastać, by podążać za Bożymi natchnieniami, a nie naginać Jego wolę do własnych planów.*

Zaufać bezgranicznie

Tylko łaska moja jest niewzruszona i stała; nie zmieni się ona i odebrana być ci nie może. Nikt nie



Skierować oczy ku górze

Bóg zna dobrze ludzkie serca, wie, że wielu z nas nie myśli o swoim zbawieniu, nie pragnie szczęścia wiecznego, ale żyje tylko w wymiarze zmysłowym. Dlatego, aby oderwać człowieka od świata, zsyła liczne udręki i przeciwności, aby skierował on swój wzrok ku górze, ku niebieskiej ojczyźnie. *Nie uczynilem tego nieopatrnie bez względu na wasze dobro, lecz w wielkiej trosce o wasze potrzeby. Chciałem odebrać człowiekowi zaufanie do świata i skłonić go, aby biegł prosto do Mnie, który jestem jego celem. Myślałem, że uporczywe dolegliwości nauczą go wznosić wyżej serce i pragnienia. Jednak człowiek jest tak ślepy na tę prawdę, tak słaby wobec uciech świata, że mimo wszystkich cierni i cierpień, które w nich znajduje, nie chce, jak widać, oderwać się od nich i zatroszczyć się o powrót do swej ojczyzny. Wiesz, córko, co by było, gdyby znajdował na świecie same przyjemności i spokój niezakłócony żadnym cierpieniem. Dlatego opatrność moja dopuszcza, aby świat rodził liczne udręki.* Tak, jak słońce wschodzi nad dobrymi i złymi, podobnie rzeczywistość ziemskiego cierpienia dotyka zarówno opornych na głos Boga, jak i ludzi duchowych, którzy z utęsknieniem szukają Go i pragną przebywać już z Nim. I do tych ostatnich kieruje On również słowo pociechy i zachęty: *Doświadczam nimi cnotę mych sług i w cierpieniach, których doznają, w sile, z jaką je znoszą, w gwałcie, jaki zadają samym sobie, mam tytuł do nagradzania ich. Wszystko przewidziała i zarządziła mądrość opatrności mojej.*

Szczęście wybranych

Człowiek, który porzuca świat, by poddać się prowadzeniu Ducha Świętego, doświadcza już w tym życiu szczęścia. Płynie ono z odrzucenia miłości własnej na rzecz Tego ognia, który wypala nasze niedoskonałości, podnosi na wyższy poziom pokory, daje kosztować Swojej słodczy nawet pośród cierpień. *O, jakże szczęśliwa jest ta dusza, która, przebywając jeszcze w ciele śmiertelnym, kosztuje nieśmiertelnego dobra! Przyjmuje wszystko z czcią; ręka lewa nie ciąży jej więcej niż prawa: przyjmuje jednakowo udrękę i pociechę, głód i pożywienie, pragnienie i napój, zimno i ciepło, nagość i szatę, życie i śmierć, cześć i zniewagę, smutek i radość. Zawsze jest silna, spokojna, niewzruszona; bo ugruntowana jest na skale żywej. Ujrzała w świetle wiary, z niezachwianą nadzieją, że wszystko daję w tej samej myśli, dla zbawienia waszego i przewiduję wszystko. W wielkich próbach daję wielkie męstwo i nie nakładam nigdy większego ciężaru, niż dusza unieść może, chyba że gotowa jest i chce przyjąć go dla miłości mojej.* Zdanie się na Opatrność przynosi duszy pokój, radość i dziecięcą ufność, że mocna ręka, która ją trzyma, doprowadzi też do upragnionego celu, jakim jest wieczne przebywanie z Bogiem.

Cytaty za: św. Katarzyna ze Sieny, Dialog o Bożej Opatrności, czyli Księga Boskiej Nauki

Ostatni dzień

przez lata starasz się
wyrwać z potrzasku
niekoniecznie by rozwinąć skrzydła
raczej by żyć zwyczajnie
nie czując oddechu śmierci na plecach
i nic się nie zmienia tylko
krok coraz cięższy

aż przychodzi moment
gdy całkowite zawierzenie Temu
co włada czasem choć sam jest poza nim
przynosi upragnione wybawienie
i wszystko toczy się już sprawnie
ostatnie dni ostatni dyżur
totalny spokój zamknięte drzwi

i oby tak przebiegał
na łez padole ten ostatni dzień
bez zbędnych słów bez emocji
dyskretnie wymknąć się
z pogodnym obliczem
z czystym sumieniem wypełnionego obowiązku
by przejść przez drzwi wieczności ku światłu

Dagmara Krzyżanowska

Katarzyna Ciesielska

Czas przycinania winnic



Jeśli chcemy wydawać owoce na drodze wiary, musimy poddać się procesowi oczyszczania. Jak winorośle, które mają owocować, muszą być przycinane, tak i my, aby poddać się działaniu Ducha Świętego, potrzebujemy zgodzić się na Bożą pedagogikę względem nas, dzięki której jesteśmy wyprowadzani na głębię wiary i zaufania. *Pan jest nieskończenie dobry. Chce dla nas jak najlepiej i możemy Mu zaufać. Jednak nie jesteśmy w stanie skłonić Go do pełnienia naszej woli, więc aby za Nim pójść, musimy porzucić bezpieczną przystań. To nie Pan ma nas zadawalać; to my mamy zadawalać Pana. Jeśli chcemy podążać za Nim drogą wiodącą ku pełni życia, musimy podporządkować swoją wolę Jego woli. Aby pełnić wolę Bożą, wzrastając w wierze, musimy tę wiarę nieustannie ożywiać i poddać się działaniu Boga względem nas, dać się Mu przycinać.*

Siostra Ann Shields w książce *Módl się i nigdy nie upadaj na duchu* wskazuje na trzy sposoby, przez które Bóg nas przycina, a są to: grzech, słabość i nieszczęście.

Krocząc na drodze wiary, ciągle doświadczamy swojej grzeszności. Grzech poniża nas i zawstydzają, jednak to właśnie poprzez takie zawstydzające, upokarzające sytuacje Pan przycina swoje latorośle.

Doświadczając swojego upadku, poznajemy, że jedynym, który ma moc przewyciężyć w nas grzech, jest sam Bóg, tak bardzo miłosierny, że nie zraża się naszą nędzą. Siostra Ann podkreśla, że, doświadczając grzechu, możemy podziękować Bogu za Jego łaskę: *Gdy wasz grzech zostaje zdemaskowany lub zaczynacie dostrzegać jego konsekwencje, okażcie skruchę. To Bóg przycina swoją latorośl, aby mogło w niej krążyć życie Chrystusa.* Takie doświadczenie uczy nas pokory, postawy serca, w której przestajemy pokładać egoistycznie ufność w sobie, a zwracamy się z nadzieją do Jezusa. Stając w prawdzie o sobie, o swojej grzeszności, możemy także uczyć się z miłością przyjmować drugiego człowieka, także grzesznika i nie patrzeć na niego przez pryzmat jego grzechu, wiedząc, że i my bez pomocy Bożej upadamy i grzeszymy. Doświadczenie własnej grzeszności, która nas przycina, może pomóc w wyzbyciu się zgubnej pewności samych siebie, na co zwracają uwagę słowa św. Pawła: *Niech przeto ten, komu się zdaje, że stoi, baczy, aby nie upadł* (1 Kor 10,12). Bóg wychowuje nas poprzez takie sytuacje, abyśmy mogli stać się prawdziwie Jego uczniami, świadomi, że sami z siebie nic nie możemy uczynić: *Podobnie jak latorośl nie może przynosić owocu sama z*

siebie – jeśli nie trwa w winnym krzewie – tak samo i wy, jeżeli we Mnie trwać nie będziecie. Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić (J 15,4-5). Doświadczając własnego grzechu, jesteśmy wezwani, by przyjmować postawę dziecka, które nie kryje się, gdy upada, ale z nadzieją rzuca się w ramiona rodzica: *Gdy dusza ujrzy i pozna ciężkość swych grzechów, gdy odstąpi się przed jej oczyma duszy cała przepaść nędzy, w jakiej się pograżała, niech nie rozpacza, ale z ufnością niech się rzuci w ramiona Mojego miłosierdzia, jak dziecko w objęcia ukochanej matki. Dusze te mają pierwszeństwo do Mojego miłosierdzia. Powiedz, że żadna dusza, która wzywała miłosierdzia Mojego, nie zawiodła się ani nie doznała zawstydzienia* (Dz 1541).

Kolejnym sposobem, przez który jesteśmy kształtowani, wychowywani, czyli przycinani jak winnica, która ma wydawać owoce, jest – paradoksalnie – nasza słabość. Każdy z nas ma słabości, w których jednak możemy doświadczać szczególnego objawiania się mocy Pana. Ten wymiar Bożej pedagogiki względem nas podkreśla św. Paweł: *Moc bowiem w słabości się doskonali. Najchętniej więc będę się chlubił z moich słabości, aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa. Dlatego mam upodobanie w moich słabościach, w obelgach, w niedostatkach, w prześladowaniach, w uciskach z powodu Chrystusa. Albowiem ilekroć niedomagam, tylekroć jestem mocny* (2 Kor 12,9-10). Nie jest łatwo stanąć w prawdzie o sobie samym, o swojej słabości, przyznać się do niej, a tym bardziej chlubić się nią. Jednak właśnie doświadczanie własnej słabości i jeszcze większej mocy Bożej wyprowadza nas na wolność z przywiązania do własnych wizji, a także uwalnia z lęku – nie muszę udawać przed Panem, nie muszę być idealny. On zna mnie takiego, jakim jestem, takiego mnie miłuje, pomimo mojej słabości, a nawet, posługując się nią przez co chce okazać Swoją moc, chce, abym służył, dając zapewnienie: *Wystarczy ci mojej łaski* (2 Kor 12, 9). Pan chce, abyśmy to Jego słuchali i Jemu zaufali, dali się prowadzić w posłudze, Jemu oddawali należną

część i uwielbienie, nie zaś sobie przypisywali zasługi: *Przechowujemy zaś ten skarb w naczyniach glinianych, aby z Boga była owa przeogromna moc, a nie z nas* (2 Kor 4,7).

Pan posługuje się w naszym życiu także sytuacjami trudnymi, cierpieniem, poprzez które oczyszcza naszą wiarę i ją umacnia. Święta Faustyna pisała, że *cierpienie jest skarbem największym na ziemi – oczyszcza duszę. W cierpieniu poznajemy, kto jest dla nas prawdziwym przyjacielem. Prawdziwą miłość mierzy się termometrem cierpień* (Dz 342). Doświadczając nieszczęścia, możemy zbliżyć się do Jezusa Ukrzyżowanego, umocnić swoją wiarę, przyjmując krzyż, który jest bramą zbawienia. Przez Swoje Słowo Bóg zachęca nas i pokrzepia: *Przyjmij wszystko, co przyjdzie na ciebie, a w zmiennych losach utrapienia bądź wytrzymały! Bo w ogniu doświadczasz się złoto, a ludzi miłych Bogu – w piecu utrapienia* (Syr 2,4-5). Bez przyjęcia krzyża w życiu nie jest możliwe, byśmy byli uczniami Jezusa, byśmy owocowali: *Często Bóg smaga pobożnych, ale też namaszcza i leczy; z cierpieniem łączy się także obietnica większej chwały i łaski. Dla człowieka niemożliwe jest, by bez cierpień uwolnił się od swoich ukrytych skaz i błędów, w które popadł. Dlatego ufajmy Bogu i jak dzieci podajmy Mu dłoń, aby ją ujął i nas poprowadził. Jest bowiem Tym, który mówi: „Albowiem Ja, Pan, twój Bóg, ująłem cię za prawicę mówiąc ci: Nie lękaj się, przychodzę ci z pomocą”* (Iz 41,13)(św. Arnold Janssen).

Pan przycina nas jak latorośle, abyśmy przynosili owoce, aby Jego życie się w nas objawiło. Aby tak się stało, możemy wraz z Matką Teresą z Kalkuty modlić się: *Drogi Jezu, pomóż mi rozsiewać Twoją woń wszędzie, gdzie pójdę. Wypełnij moją duszę Twoim duchem i życiem. Przeniknij i weź w posiadanie całą moją istotę, tak by moje życie było jedynie promieniowaniem Twojego życia. Świeć poprzez mnie i bądź tak we mnie, aby każda dusza, z którą się zetknę, poczuła Twoją obecność w mojej duszy. Niech [ludzie] patrzą na mnie i niech widzą już nie mnie, ale tylko Jezusa!*

Zostań ze mną, a wtedy ja zacznę świecić tak, jak Ty świecisz, żeby świecić tak, aby być światłem dla innych. To światło, Jezu, całe będzie Twoje; nic z niego nie będzie moje. To będziesz Ty świecący na innych przeze mnie. Pozwól mi więc wychwalać Cię tak, jak Ty najbardziej uwielbiasz, przez promieniowanie na ludzi wokół mnie. Pozwól mi głosić Cię bez wygłaszania kazań, nie słowami, ale własnym przykładem, zaraźliwą siłą i pełnym współczucia wpływem tego, co robię, widoczną w moim sercu pełnią miłości, którą niosę dla Ciebie. Amen (bł. Matka Teresa z Kalkuty, *Pójdź, bądź moim światłem*).

Agnieszka Kozłowska

Zachować dobre wino

Trzeciego dnia odbywało się wesele w Kanie Galilejskiej i była tam Matka Jezusa. Zaproszono na to wesele także Jezusa i Jego uczniów. A kiedy zabrakło wina, Matka Jezusa mówi do Niego: „Nie mają już wina”. Jezus Jej odpowiedział: „Czyż to moja lub Twoja sprawa, Niewiasto? Czyż jeszcze nie nadeszła godzina moja?” Wtedy Matka Jego powiedziała do sług: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie”. Stało zaś tam sześć stągwi kamiennych przeznaczonych do żydowskich oczyszczeń, z których każda mogła pomieścić dwie lub trzy miary. Rzekł do nich Jezus: „Napełnijcie stągwie wodą!” I napełnili je aż po brzegi. Potem do nich powiedział: „Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu!” Oni zaś zanieśli. A gdy starosta weselny skosztował wody, która stała się winem – nie wiedział bowiem, skąd ono pochodzi, ale słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli – przywołał pana młodego i powiedział do niego: „Každy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, wówczas gorsze. Ty zachowałeś dobre wino aż do tej pory”. Taki to początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej. Objawił swoją chwałę i uwierzyli w Niego Jego uczniowie. (J 2, 1-11)

Jest wiele interpretacji ewangelicznej sceny w Kanie Galilejskiej. Zwykle odnosimy ją do mówienia o małżeńskiej miłości, która – jeśli podtrzymywana jest tylko ludzkimi siłami – w końcu okazuje się być skończona i niezdolna do przetrwania różnorodnych prób czy kryzysów. Ilustruje to sytuacja braku wina, które w Biblii symbolizuje miłość. Jezus za wstawiennictwem Maryi przychodzi na pomoc i czyni cud przemiany wody w wino – miłości ludzkiej w miłość ponadludzką, *agape*. Staje się w ten sposób Źródłem miłości

oblubieńczej w małżeństwie i gwarantem jej trwałości.

Inspirujący jest moment, w którym starosta weselny kosztuje wody, która stała się winem i wypowiada znamienne słowa: *Každy człowiek stawia najpierw dobre wino, a gdy się napiją, wówczas gorsze*. Można je odnieść znów do sytuacji miłości małżeńskiej, ale warto zastanowić się nad jej sensem w szerszym znaczeniu i przyjąć jako istotną wskazówkę dla życia duchowego.

Wino, jak już powiedziano, symbolizuje w Biblii miłość, zatem odnosi się także do relacji człowieka

względem Boga. Doświadczenie nawrócenia i poznania Boga w prawdzie – Jego miłości, miłosierdzia, nieustannej obecności i darów darmo danych – skłania osobę do odpowiedzenia całym sercem na tę miłość. Bóg – objawiając się – zaprasza równocześnie do wejścia w głęboką, osobową relację z sobą, wyjścia na głębię wiary i życia duchowego. Jeśli człowiek podejmuje to zaproszenie, odkrywa poza płaszczyzną świata zmysłowego niezgłębione bogactwo spraw ponadziemskich. Zaczyna doznawać nieustannego prowadzenia i obecności swego Pana również w wymiarze życia codziennego. Towarzyszy temu pierwsze doświadczenie rozpalenia miłością Bożą.

Wielką pokusą na tej drodze człowieka nawróconego jest brak wierności i wytrwałości. Okoliczności zewnętrzne, reakcja najbliższego otoczenia mogą stanowić źródło trudności i oporu. Wyraża się to

rozmaicie – od lekceważenia i niedowierzania do krytyki i konfliktów. Trudno ostać się w takiej sytuacji samemu, szczególnie jeśli utrapienie rozciąga się w czasie albo przemiana wewnętrzna nie zaowocuje przemianą całego życia. Początkowa gorliwość może wówczas niezauważenie zamienić się w letniość, aż w końcu stanie się oziębłością i rozgoryczeniem. O. Józef Kozłowski SJ, znany kierownik duchowy, przestrzegając, że sytuacja osoby odwracającej się od Pana po uprzednim nawróceniu może być jeszcze gorsza niż przed nawróceniem. Jeśli zły utracił swą zdobycz, to zrobi wszystko, by teraz uwikłać ją tak bardzo, by drugi raz nie chciała już się mu wymknąć. Scena w Kanie Galilejskiej pokazuje jednak, że dla Jezusa nie ma nic niemożliwego. Może stać się ona źródłem nadziei nawet dla tych, którzy czują, że utracili już wszystko, zmarnowali czas nawiedzenia i łaski. Maryjne *fiat* odmieniło bieg historii świata i tu Matka Boża staje, by Swą obecnością pokazać, że wystarczy ludzka wola i współpraca z Duchem Świętym, a rzeczy niemożliwe stają się realne.

Są też osoby, które podjęły się walki duchowej o to dziedzictwo, jakie zostało im przywrócone w momencie nawrócenia. Ta walka wymagała od nich nieraz zapierania się siebie, szukania wsparcia u innych, nieustannego wzywania mocy Bożej. Wierność sakramentom, modlitwie, zakorzenienie się we wspólnocie stopniowo przynosiło owoce uwolnienia i uzdrowienia. Jednak również Apostołów Jezus ostrzegał przed konsekwencjami braku czujności. Jeśli człowiek już wiele lat kroczy za Panem, to również powinien mieć świadomość pokus, których – być może w bardziej subtelnej formie – będzie doświadczał. Dotyczyć one mogą podtrzymywania w sobie gorliwości. O. Augustyn Pelanowski OSPPE, znany rekolekcjonista, stwierdził ze smutkiem w jednej z konferencji, że wielu neofitów jest bliżej Boga i goręcej Go wielbi niż ci, którzy od lat kroczą za Nim. Czy nie przypomina to ewangelicznej sytuacji braku lub podawania *gorszego wina*? Pułapką dla takich ludzi jest to, że nie powracają do pierwotnej miłości, która ich wydobyła z ich niemocy. Perspektywa czasu oddala w niepamięć fakt, jak wielka to była niemoc i jakich płaszczyzn życia dotyczyła. Jezus uleczył te miejsca, ale pozostaje w nich pewna wrażliwość, która nakazuje czuwać nad tym, czy zły nie będzie próbował poprzez te miejsca ponownie uderzać. Wspomnienie łaski, która ich podźwignęła, pozwala również zachować postawę pokory i, mimo doświadczenia na drodze wiary, nie wywyższać się ponad innych. Każde też trwać przy źródle sakramentów, modlitwy, życia wspólnotowego i innych sposobów, które stały się drogą ich uzdrowienia w Jezusie. W ten sposób prowadząc życie duchowe, mamy szansę zachować *dobre wino* – gorącą miłość do Pana, którą On sam podtrzymuje i uświęca.

Tomasz Kalniuk

Święty Andrzej Bobola - rycerz Chrystusa i obrońca Polski

Gdy jednak nadeszła pełnia czasu, zesłał Bóg Syna swego, zrodzonego z niewiasty, zrodzonego pod Prawem, aby wykupił tych, którzy podlegali Prawu, abyśmy mogli otrzymać przybrane synostwo (Ga 4,4-5). Jezus narodził się w konkretnym momencie historii, a Jego rodowód obejmuje szereg ludzkich pokoleń. Wśród nich znajdują się autentyczni bohaterowie wiary, mężowie sprawiedliwi i dzielne niewiasty, ale i grzesznicy: bałwochwalcy, cudzołożnicy, zabójcy. Syn Boży naprawdę stał się człowiekiem i autentycznie wmieszał się w ludzką historię rozdartą przez grzech po to, by ją zbawić i wyprowadzić z niej nową ludzkość.

Gdy Rzeczpospolita w wieku XVII nękana była licznymi konfliktami, m.in. ze Szwecją, Rosją i Tatarami, Bóg wzbudził świętego człowieka – Andrzeja Bobolę, jezuitę, który obecnie jest jednym z patronów Polski. Święty urodził się najprawdopodobniej w 1591 roku w podsanocekiej Strachocinie. Historia jego życia w instruktażowy wręcz sposób kreśli drogę chrześcijańskiej doskonałości. Bobola nie był doskonały, ale to nie przeszkodziło mu stać się świętym. Dzięki heroicznej pracy nad sobą zdołał przezwyciężyć wszystkie „obciążenia stanu szlacheckiego”, z którego się wywodził. Jego rodzina znacznie częściej występowała w księgach sądowych z tytułu awanturnictwa aniżeli dobroczynności. Ideał, jaki osiągnął – świętość życia, poświęcona męczeńską śmiercią – pokazuje, że każdy może być świętym. Nie ma takich osobistych czy rodzinnych determinizmów, z których nie można by się wyzwolić, współpracując wytrwale z łaską.

Z porywczego, skłonnego do uporu i wyniosłości szlachcica stał się Andrzej gorliwym apostołem Chrystusa – Jego dzielnym rycerzem. Bóg wykorzystał jego energię i żywy temperament, które po oczyszczeniu przybrały postać niebywałej wprost aktywności duszpasterskiej Małopolanina. Ojciec Bobola pracował m.in. w Płocku, Warszawie, Wilnie, Połocku i Pińsku, dając się poznać jako wytrawny kaznodzieja. Najlepiej czuł się jednak w pracy misyjnej, wśród ubogiej ludności dzisiejszej Litwy, Rosji i Białorusi. Działał na trudnym terenie i w niespokojnych czasach, kiedy konflikty narodowe mieszały się z religijnymi. Dla swojej gorliwości wyznawcy prawosławia nazywali go „duszochwatem”, a katolicy „łowcą dusz”. Ludzie, którym głosił Chrystusa, żyli w wielkim zaniedbaniu.



Polesie stanowiło rozległy obszar, gdzie miejscowości przeciętne były mokradłami i bagnami. Ze względu na małą liczbę dróg tylko z trudnością można było do nich dotrzeć. Mieszkańcy wsi i miasteczek mieli jedynie sporadyczne kontakty z Kościołem, łącząc w praktyce chrześcijaństwo z ludową magią. Miłość Andrzeja ku nim była głównym powodem jego pracy duszpasterskiej. Skrajna bieda, w której żyli, dotyczyła zarówno katolików, jak i prawosławnych, toteż i nauczanie zakonnika obejmowało tak jednych, jak i drugich. W książce *Duszochwat ze Strachociny* ksiądz Józef Niżnik pisał o Boboli: *Wykorzystywał każdą sposobną chwilę do tego, aby zapoznawać ludzi z nauką Chrystusa. On wiedział, że najlepszą okazją do nauczania prawd wiary i zasad moralności jest osobisty kontakt z ludźmi. Dlatego znany był na terenach Pińszczyzny jako wędrowny kaznodzieja (...). Dla niego najważniejsza była ludzka dusza. Dla*

niej oddałby wszystko. Gdy napotkał zagubioną duszę, tracił poczucie czasu i miarę ofiary. Aby ją uratować, kładł wszystko na jedną szalę. Nie wracał do klasztoru, nie jadł, nie spał.

W swoim wychodzeniu na opłotki i społeczne peryferia święty okazał się jednym z prekursorów Nowej Ewangelizacji. Nie wszyscy byli jednak zadowoleni z obecności i pracy polskiego jezuitę. Cerkiew prawosławna odnosiła się do niego z wrogością, oskarżając go o prozelityzm. Owocem jego posługi były bowiem nie tylko indywidualne, ale i zbiorowe konwersje. Katolickiego duchowieństwa utożsamianego z Polską nienawidzili wprost Kozacy. Teoretycznie zarządzał nimi Chmielnicki, deklarujący swoją lojalność wobec króla polskiego. W praktyce oddziały kozackie działały samowolnie, poza wojskową dyscypliną. Z ich rąk zginęło wówczas 49 kapłanów, jednym z nich był Andrzej Bobola. W kronice Kolegium Jezuickiego w Pińsku sporządzono krótką notatkę, że *16 maja 1657 roku poniósł śmierć męczeńską*. Tylko tyle... A więc żył sobie zakonnik, pracował i umarł jak inni. Na szczęście zachowały się dokumenty świadków, dzięki którym możliwe jest rozwinięcie treści tej notatki. Odtworzenie męczeńskiej drogi misjonarza jest wstrząsające i poruszające zarazem. Jak napisał papież Pius XII w encyklice o nim – *Invicti athletae Christi: Wzdryga się dusza na wspomnienie tych wszystkich mąk, które bohater Chrystusowy z niezłomnym męstwem i nieugiętą wiarą przecierpiał*.

Jezuitem schwytali Kozacy nieopodal Janowa Poleskiego. Po tym, jak zamordowali ojca Szymona Maffona, ruszyli w pościg za nim – „wielkim szkodnikiem”. Prawdopodobnie wieści o okrutnej śmierci współbrata dotarły do Andrzeja i ten próbował uciekać w inne miejsce. Faktem jest, że gdy oddział ukraińskich Kozaków dogonił wóz, którym jechał misjonarz, woźnica uciekł do lasu, a Bobola wyszedł im na spotkanie. Ci zdarli z niego ubranie i przywiązane do pali bili nahajkami, zmuszając przy tym do wyparcia się katolickiej wiary. Gdy to nie poskutkowało, zaczęli uciskać mu głowę dębowymi gałązkami bijąc przy tym po twarzy, w skutek czego stracił kilka zębów. Skatowanego przywiązali do koni i przywlekli do Janowa przed starszyzną kozacką. Wyszadzony kapłan wciąż wyznawał swoją wiarę i wzywał oprawców do nawrócenia. Na to jeden z nich odpowiedział wyłupieniem mu oka. Następnie z otwartego placu zabrano go do miejscowej rzeźni. Tam Kozacy rzucili go na stół i zaczęli opalać obite boki łuczycem. Dla wyszydzenia jego kapłaństwa wbili mu drzazgi pod paznokcie, nożem zdarli skórę z głowy i pleców – odpowiednio na kształt tonsury i ornatu. Grubym sztyłem rzeźniczym podziurawili mu lewy bok. Nieustanna modlitwa torturowanego, w której wzywał

imion Jezusa i Maryi rozwścieczyła katów. Przez głęboki otwór w karku wyrwali ofercie język u nasady. Ponadto obcięli mu wargi, nos i uszy. Niepodobne do ludzkiego ciała drgało wstrząsane konwulsjami. Kozacy dobrze się przy tym bawili, wołając: *Patrzenie, jak Lach tańczy*. Znużeni przedłużającą się agonią, przyspieszyli ją podwójnym cięciem szablą w szyję.

Oczom przybyłych z Pińska jezuitów, zawiadomionych o śmierci Andrzeja, ukazał się widok tak makabryczny, że postanowili nie pokazywać zwłok klerykom z obawy, by ci nie zachwiali się w wierze i nie stracili powołania. Trumnę ze zmasakrowanym ciałem złożono w krypcie kościoła wśród innych i z czasem o Andrzeju zapomniano. W 1702 roku Bobola ukazał się ówczesnemu rektorowi kolegium – ojcu Marcinowi Godebskiemu. Trwała właśnie trzecia wojna północna z protestantami i zatroskany o los swojej wspólnoty przełożony szukał ratunku w modlitwie. We śnie przyszła do niego postać zakonnika – Andrzeja, który obiecał swoją pomoc w zamian za odnalezienie jego trumny. Prośbę udało się spełnić, trumnę odkopano, a kolegium przetrwało. Podjęto wówczas starania o beatyfikację, które na skutek niesprzyjających okoliczności (m.in. ateistycznych prądów epoki Oświecenia i kasaty zakonu jezuitów) zostały wstrzymane. W 1819 roku Andrzej Bobola pokazał się po raz drugi, tym razem dominikaninowi – ojcu Alojzemu Korzeniewskiemu. Ten, modląc się pewnego razu o odzyskanie przez Polskę niepodległości za przyczyną poleskiego męczennika, ujrzał go stojącego koło siebie. Tajemniczy gość pokazał mu w wizji wojnę, po zakończeniu której Polska miała stać się wolną, a on miał być jednym z jej patronów. Proroctwo się spełniło, choć wymagało to blisko stu lat.

W 1918 roku Polska odzyskała niepodległość, ale nie oznaczało to dla niej końca zmagania. Ze Wschodu nadciągał nowy wróg w postaci ideologii komunistycznej i armii bolszewików. Podczas gdy Polacy dysponowali około milionem zdolnych do walki ludzi (łącznie z harcerzami), Sowietom mieli od pięciu i pół do sześciu milionów żołnierzy. Kardynał warszawski Aleksander Kakowski, rozumiejąc powagę chwili, zarządził, aby we wszystkich kościołach stolicy modlono się nowenną do błogosławionego już wówczas Andrzeja Boboli. Do Warszawy sprowadzono z Krakowa relikwie Andrzeja, które 8 sierpnia 1920 roku wystawiono do publicznego uczczenia na Placu Zamkowym. 15 sierpnia, a więc w dzień po zakończeniu nowenny do błogosławionego Polska odniosła spektakularne zwycięstwo nad bolszewikami. Bitwa warszawska przeszła do historii jako *cud nad Wisłą*. Marszałek Józef Piłsudski nie miał żadnych wątpliwości odnośnie do faktycznych przyczyn zdarzenia. W swym liście do papieża Benedykta XV pisał: *Ojciec Święty! Od początku wojny światowej, która zda się obecnie dobie-*

gać końca, Bóg Wszechmogący widocznie błogosławił naszej bohaterskiej armii. Wbrew zamiarom naszych wrogów, Ojczyzna nasza zmartwychwstała, co według rachub ludzkich, zdawało się prawie niemożliwe. Przypisujemy to dokonanie się aktu sprawiedliwości dziejowej możnemu wstawiennictwu naszych Świętych Patronów, a zwłaszcza błogosławionemu Andrzejowi Boboli.

Niebawem ciało męczennika, które znajdowało się w Połocku, dostało się niestety w ręce komunistów. Bojownicy, zwalczający „religijny zabobon”, wyjęli je z trumny i rzucili na kamienną posadzkę przekonani, że „okaz poleski” zwyczajnie się rozsypie. Zwłoki pozostały jednak całe, co zmusiło ich do sporządzenia notatki o ich niezwykłym stanie. Powzięto wówczas decyzję o ich przeniesieniu do Moskwy i umieszczeniu w gmachu Wystawy Higienicznej Ludowego Komisariatu Zdrowia. Zmiana miejsca miała zakończyć działanie „katolickiej magii”, ale skutek był taki, że coraz więcej ludzi udawało się tam w pielgrzymkach, chcąc obejrzeć cud. Ostatecznie trumnę złożono w magazynie. Starania Stolicy Apostolskiej i amerykańskich jezuitów pracujących w Moskwie doprowadziły do tego, że w 1923 roku ciało męczennika spoczęło w Rzymie. W tym samym roku rozpoczął się proces kanonizacyjny Andrzeja zakończony w 1938 roku. Papież Pius XI jednoznacznie wyraził wolę, aby integralne relikwie świętego złożono w Warszawie, a nie, jak rozważano, w Pińsku czy Wilnie. Jak opatrnościową okazała się ta decyzja, przekonano się już w 1939 roku, kiedy wojska radzieckie zagarnęły tereny wschodniej Polski.

Dziś na warszawskim Mokotowie znajduje się narodowe sanktuarium świętego Andrzeja Boboli, który od 2002 roku został włączony w poczet Patronów Polski. Co ciekawe, na długo przed tym faktem, bo w roku 1936, św. siostra Faustyna Kowalska, modląc się żarliwie w intencji Ojczyzny, zobaczyła Andrzeja w otoczeniu polskich świętych – Stanisława Kostki i Kazimierza Królewicza. Sam Bobola natomiast po raz trzeci przypomniał o sobie w Strachocinie, kiedy w 1987 roku w widzeniu odpowiedział tamtejszemu proboszczowi – księdzu Józefowi Niżnikowi: *Jestem święty Andrzeja Bobola. Zaczynicie mnie czcić w Strachocinie*. W 2007 roku arcybiskup Józef Michalik ustanowił tamtejszy kościół parafialny sanktuarium świętego. Przywołując słowa Piusa XII z jego encykliki *Invicti athletae Christi*, metropolita przemyski we *Wstępie* do albumu pt.: *Niezlomny Patron Polski. Święty Andrzeja Bobola*, napisał: *Dzisiaj również religia katolicka jest w świecie wystawiona na ciężką próbę i ze wszystkich sił trzeba jej strzec, głosić ją i szerzyć (...). Bądźmy jak święty Andrzeja ludźmi niezwykłej wiary, zachowajmy ją i brońmy z całą mocą*.

W osobie poleskiego męczennika zaoferowana została Polsce skuteczna pomoc i opieka, byleby tylko po nią sięgać. *Czy zagrożeniem narodów są tylko agresje militarne i zewnętrzne?* – pyta arcybiskup Michalik. – *Czy nie większym zagrożeniem jest upadek moralny ludzi tworzących naród? W ostatecznym rozrachunku wielkość narodu tworzą jego wielcy synowie i córki. Niewątpliwie święci są luminarzami dziejów. Byli i są pilnie potrzebni także naszym czasom*.



foto: Tomasz Kaliniak

NASZA OFERTA WYDAWNICZA

REKOLEKCJE CHARYZMATYCZNE

MP3

DVD

Nowość!



o. Józef Witko OFM
Pan jest z Tobą, dzielny wojowniku!

inne rekolekcje z **o. Józefem Witko OFM**
Uzdrowienie międzypokoleniowe
Błogosławieństwo i przekleństwo
Doświadczenie Ducha Świętego



Dwumiesięcznik „Postanie”

ciekawe artykuły świadectwa
wywiady konferencje

W ostatnim numerze m.in.:
Weźcie udział w trudach dla Ewangelii
Wybieraj drogę dziękczynienia
O zapomnianej cnocie posłuszeństwa

ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY

Pismo można zamówić telefonicznie, mailowo, listownie, a także w naszym sklepie internetowym. Następnie należy wpłacić na nasze konto podaną kwotę (cena za pismo + koszty przesyłki). Po otrzymaniu wpłaty zrealizujemy Państwa zamówienie.

Oplata za prenumeratę półroczną: **13,50 zł** (+ koszty przesyłki)
(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **19,50 zł**)
Oplata za prenumeratę roczną: **27,00 zł** (+ koszty przesyłki)
(całkowity koszt prenumeraty z kosztami przesyłki: **39,00 zł**)

KOSZTY PRZESYŁKI:

ilość egzemplarzy	koszt przesyłki
1 - 3	2 zł
4 - 9	4 zł
10 i więcej	7 zł

Katolickie Stowarzyszenie Ewangelizacyjne „Postanie”

skr. pocztowa nr 100, 87-101 Toruń 3

e-mail: sklep@poslanie.pl www.poslanie.pl

tel. 692 387 428 (pon. - pt. w godz. 9:00-17:00)

nr konta bankowego: 27 1940 1076 3044 3244 0000 0000

*Nigdy nie mów: Bóg mnie opuścił. Bóg cię kocha!
Biblia zapewnia cię, że On czuwa nad tobą jak orzeł nad swymi pisklętami,
strzeże cię jak źrenicy oka.*

św. Tomasz z Akwinu